



ItaliAMO

*periodyk popularnonaukowy
Studenckiego Koła Naukowego
Italianistów UŁ ItaliAMO
nr XVIII, wrzesień 2021*





Słowem wstępu

Drodzy Czytelnicy pisma „ItaliAMO”!

Zwielką radością przedstawiamy Wam nowy numer naszego periodyku przygotowany w roku akademickim 2020/2021. Także tym razem możemy pochwalić się międzynarodowym charakterem naszej pracy. Jak zawsze proponujemy Wam zróżnicowany wybór artykułów, które usatysfakcjonują każdego, kto interesuje się Włochami: recenzje książek współczesnych autorów, opisy miejsc wartych odkrycia, relacje z wymian naukowych Polaków we Włoszech, analizy mało znanych tematów związanych z kulturą włoską, a wreszcie także komentarze dotyczące nietypowego okresu, jaki przeżywamy. Dziękujemy wielu osobom, które przyczyniły się do publikacji pisma i życzymy Wam miłej lektury!

Z pozdrowieniami

Katarzyna Kowalik – redaktor naczelna



Cari Lettori della rivista “ItaliAMO”!

Vi presentiamo con tanta gioia il nuovo numero del nostro periodico preparato nell'anno accademico 2020/2021. Anche stavolta possiamo vantarci del carattere internazionale del nostro lavoro. Come sempre, Vi proponiamo una scelta variegata di articoli che soddisferanno ogni persona interessata all'Italia: recensioni dei libri di autori contemporanei, descrizioni dei luoghi che vale la pena di scoprire, relazioni dalle mobilità scientifiche di cittadini polacchi che si trovano in Italia, approfondimenti dei temi poco noti legati alla cultura italiana, infine anche i commenti a proposito dell'insolito periodo che stiamo vivendo. Ringraziamo le numerose persone menzionate sopra che hanno contribuito alla pubblicazione della rivista e Vi auguriamo una buona lettura!

Cordiali saluti

Katarzyna Kowalik – caporedattrice

Redakcja ItaliAMO

Redaktor naczelna: Katarzyna Kowalik

Zastępca redaktora naczelnego: Justyna Groblińska

Członkini redakcji: Dominika Kobylska

Dział korekty: Justyna Groblińska, Katarzyna Kowalik, Dominika Kobylska

Autorzy tekstów: prof. Tomasz Kaczmarek, mgr Alessio Cioli, Alessio Homayoun, Davide Giuliodori, Christian Gasperi, Justyna Groblińska, Weronika Kurska, Joanna Frask, Weronika Marzec, Sara Pucciani, Aleksandra Łakomic, Marta Mazur, Zuzanna Kletschka, Alicja Nowak, Katarzyna Hapon, Anna Głowacka, Vanda Asipenka, William Raphael, Natalia Wieczorek

Pomoc w tłumaczeniu: dr Katarzyna Maniowska, Dominika Kobylska, Katarzyna Kowalik, Piotr Kowalski, Vanda Asipenka

Projekt okładki: Irene Fioravanti

Zdjęcia: Irene Fioravanti, Giulio Burroni, Sara Pucciani, Zuzanna Kletschka, Alicja Nowak

Opracowanie graficzne: Katarzyna Dudka

Bardzo dziękujemy Panu Rektorowi Robertowi Zakrzewskiemu, Pani Dziekan Joannie Jabłkowskiej, Panu Profesorowi Arturowi Gałkowskiemu, Pani Profesor Anicie Staroń, Panu Sebastianowi Mikołajczykowi, Panu Bartoszowi Burskiemu i Pani Elżbiecie Młynarczyk-Dżereń za pomoc w opublikowaniu czasopisma. Dziękujemy Wydawnictwu Uniwersytetu Łódzkiego, Wydawnictwu Czarnemu i Pani Annie Groblińskiej za wsparcie naszych inicjatyw.

Ringraziamo tanto i nostri amici italiani: dr Stefano Cavallo, mgr Alessio Cioli, mgr Michele Feliziani, Dario Bellone, Greta Kapllani, Luca Postilli, Francesco Abruscato, Laura Gelfi, Erika Franzosi, Mattia Frisoli, Federica Sala, Marco Gallan, Francesca Pompeo, Caterina Bellenzier, Alessio Homayoun e Davide Giuliodori per il loro aiuto nella correzione dei testi.



Chcesz
dowiedzieć się o nas więcej?
być zawsze na bieżąco?
Zajrzyj na naszą stronę internetową:

www.italianistyka.uni.lodz.pl/



Zajrzyj i polub nas na Facebooku :

<https://www.facebook.com/SKN.ItaliAMO/>

Alessio Homayoun

Corrado Augias, *Il disagio della libertà. Perché agli italiani piace avere un padrone* – recenzja

Tłumaczenie: Katarzyna Kowalik

W ramach konkursu „Recensiamo ItaliAMO” zdecydowałem się przedstawić recenzję książki *Il disagio della libertà. Perché agli italiani piace avere un padrone*, opublikowanej w Mediolanie w 2012 przez pisarza, dziennikarza, prezentera telewizyjnego, dramaturga i byłego włoskiego polityka Corrada Augiasa. Autor urodził się w Rzymie w 1935 w rodzinie o korzeniach francusko-żydowskich. Po ukończeniu z najwyższymi wynikami studiów prawniczych spędził znaczną część swojego życia, pracując jako dziennikarz dla słynnego kanału RAI, jako autor kryminałów, a przez krótki okres także jako eurodeputowany z ramienia lewicowych demokratów. Ponadto Augias określa się jako ateista i w znacznej części jego dzieł widoczny jest jego negatywny stosunek wobec Kościoła katolickiego i Watykanu. Pomimo swojego ateizmu pisarz żywi głęboki podziw wobec Ewangelii i historii Jezusa Chrystusa i opublikował na ten temat wiele książek. Skandal wśród katolików wywołała książka *Disputa su Dio e dintorni*, w której nawołuje on Kościół do porzucenia koncepcji posiadania pełni prawdy statycznej, która prowadzi do ekstremizmu, autorytaryzmu i monopolu na moralność.

Temat ten jest szeroko omawiany także w książce *Il disagio della libertà. Perché agli italiani piace avere un padrone*. Jej zawartość możemy podzielić na dwie części. W pierwszej Augias skupia się na pojęciu wolności i sposobie, w jaki jest ona postrzegana przez Włochów. Utrzymuje, że są oni narodem gotowym zawsze przedłożyć własne interesy ponad sprawy publiczne, mało aktywnym w życiu

politycznym. Łatwiej jest scedować na innych najbardziej nużące sprawy, by móc w spokoju oddać się bardziej przyjemnym formom spędzania wolnego czasu. Taki właśnie wydaje się charakter „przeciętnego Włocha”, biorąc pod uwagę, że w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu lat najbardziej trwale rządy działały w dwudziestoleciu władzy faszystów i *quasi* dwudziestoleciu władzy faszyzmu. Ówczesni rządzący mieli wyraźne predyspozycje do rządów absolutnych, sprawowanych w pierwszym przypadku za pomocą siły i władzy autorytarnej, w drugim natomiast za pomocą sprytu i siły uwodzenia. Te silne osobowości zdołały wykorzystać przyzwolenie na swoje działania, wykorzystując ten aspekt naszego sposobu bycia, zachęcając jednostki do tego, by nie odrywały uwagi od własnych spraw pomimo życia w kraju, gdzie merytokracja, lojalność i poszanowanie dla instytucji zanikają coraz bardziej. Interesujące są cytaty znaczących dla historii i literatury postaci, jak Dantego, który zawołał „Biedna Italia, bólu gościnnica”¹, czy Carduccięgo, który określił Włochy jako naród „młody dniem wczorajszym, stary trzydziestoma wiekami, któremu całkowicie brakuje idealizmu”; zdania te są niezmiernie aktualne. Włoch nie lubi prawdziwej, „uciążliwej” wolności, wydaje się źle z nią czuć i jest gotów powierzyć ją jakiemukolwiek „Człowiekowi Opatrzności”. To główna przyczyna powolnego wzrostu gospodarczego i kulturowego Włoch, który uniemożliwia konkurowanie z najbardziej rozwiniętymi regionami Europy.

1 Tłum. Edwarda Porębowicza.

Augias stawia sobie zatem pytanie: dlaczego Włosi mają predyspozycję do szukania „pana”, lidera? Pisarz próbuje znaleźć na nie odpowiedź, wyjaśniając, że istnieją ku temu powody historyczne, terytorialne i kulturowe: historyczne ze względu na młodość naszego kraju, zjednoczonego dopiero w 1861 roku, symbolicznie wciąż podzielonego sporami i ciągłymi kłótniami między północą a południem; terytorialne ze względu na łagodny klimat i geografie naszego kraju, cel wakacyjnych podróży dla samych Włochów, zachęcające ludzi do najbardziej bezmyślnych działań; kulturowe ze względu na silny wpływ wywierany wciąż przez religię katolicką, promującą wypaczone idee i wyznawaną przez wielu bardziej jak ludowe wierzenie niż ze względu na szczerą wiarę, często przekazywaną przez rodziców dzieciom. Właśnie na tym, jak Kościołowi katolickiemu i Watykanowi udaje się osłabić pojęcie wolności, koncentruje się Augias. Rzymski pisarz analizował to zjawisko także w innych swoich utworach.

Dzieło stanowi zarzut wobec narodu włoskiego, ale jednocześnie skłania do refleksji. Uważam, że książka ta jest niezwykle aktualna, opisuje bardzo precyzyjnie dzisiejszą włoską rzeczywistość, a przede wszystkim mentalność Włochów, którzy przedkładają własny zysk ponad dobro państwa. Najbardziej doceniłem język użyty przez Augiasa: prosty, bezpośredni, krytyczny, z dużą dozą humoru typowego dla rzymskiego pisarza. Chciałbym zatem polecić uważną lekturę książki, przede wszystkim Włochom, co przysłuży się zdrowej samokrytyce.

Alessio Homayoun



Corrado Augias, *Il disagio della libertà. Perché agli italiani piace avere un padrone* – recensione

Per il concorso “Recensiamo ItaliAMO” ho deciso di presentare una recensione del libro *Il disagio della libertà. Perché agli italiani piace avere un padrone* pubblicato a Milano nel 2012 dallo scrittore, giornalista, conduttore televisivo, drammaturgo ed ex politico italiano Corrado Augias. Lo scrittore è nato a Roma nel 1935 da una famiglia di origini francesi ed ebraiche. Dopo aver ottenuto la laurea in giurisprudenza con il massimo dei voti, ha trascorso buona parte della sua vita lavorando come giornalista per il noto canale RAI, come scrittore giallista e un breve periodo in qualità di

deputato europarlamentare in rappresentanza dei Democratici di Sinistra. Augias si dichiara inoltre ateo ed in buona parte delle sue opere sono evidenti le sue prese di posizione contro la Chiesa cattolica ed il Vaticano. Pur essendo ateo, lo scrittore prova una profonda ammirazione per i Vangeli e per la storia di Gesù Cristo, pubblicando vari libri al riguardo. Tra le comunità cattoliche ha suscitato scandalo il libro *Disputa su Dio e dintorni*, in cui sollecita la Chiesa ad abbandonare il concetto di una verità statica posseduta interamente, che conduce all'estremismo, all'autoritarismo e al monopolio della morale.

Questo tema viene largamente affrontato anche nel libro *Il disagio della libertà. Perché agli italiani piace avere un padrone*. Possiamo riassumere il contenuto del libro in due parti: nella prima Augias si focalizza sul concetto di libertà e come essa viene percepita dagli italiani, sostenendo che siano un popolo pronto ad anteporre sempre il proprio interesse privato a quello pubblico, poco attivo nella vita politica; è molto più facile delegare agli altri le faccende più noiose per potersi dedicare indisturbati ai passatempi più piacevoli. Esattamente questo sembra essere il carattere generale dell’italiano

medio”, considerando che, in novant’anni di storia, i governi più longevi sono stati quello del ventennio fascista e il quasi-ventennio berlusconiano, i cui leader avevano una spiccata predisposizione al comando assoluto, esercitato nel primo caso con la forza e autoritarismo, nel secondo con la furbizia i la seduzione. Queste forti personalit sono riuscite a guadagnare consenso sfruttando questo aspekt del nostro modo di vivere, invitando il singolo a non distogliere l’attenzione dai propri interessi, pur vivendo in un paese dove la meritocrazia, lealt, rispetto delle instytucji vno sempre piu scomparendo. Interessanti sono le citazioni di personaggi rilevanti della storia e letteratura italiana, come Dante che esclam “Ahi serva Italia, di dolore ostello!”, oppure Carducci che defini l’Italia una nazione “giovine di ieri e vecchia di trenta secoli a cui manca del tutto l’idealit”; sono frasi piu che attuali. Al-

l’italiano non piace la libert vera, quella “faticosa”, sembra trovarsi a disagio con essa ed  pronto a delegarla ad un qualsiasi “Uomo della Provvidenza”. Ci  la principale causa della lenta crescita economica e culturale italiana, che la impedisce di competere con le regioni piu progredite d’Europa.

Quindi il quesito che si pone Augias  perch gli italiani hanno questa predisposizione a ricercare un “padrone”, un leader? A questa domanda lo scrittore cerca di dare una risposta spiegando che ci sono ragioni storiche, territoriali e culturali: storiche a motivo della giovinezza del nostro paese, unificatosi solo nel 1861, simbolicamente ancora diviso, con diatribe e continui scontri tra nord e sud; territoriali a motivo del clima mite i la geografia del nostro paese, meta di vacanze per gli stessi italiani i che spingono spesso le persone alle attivit piu spensierate; culturali a causa della forte influenza che esercita ancora la religione cattolica, che pro-

muove idee distorte i viene vissuta da molti piu come se fosse una credenza popolare anzich per fede sincera, spesso tramandata da genitori a figli. Proprio su questo si concentra Augias, su come la Chiesa cattolica i il Vaticano riescano a minare il concetto di libert, tema approfondito anche in altri libri dello scrittore romano.

Nel suo complesso l’opera costituisce un rimprovero al popolo italiano, ma lo invita anche a fare riflessioni. Trovo questo libro veramente attuale, describe l’esatta rappresentazione dell’odierna realt italiana i soprattutto della mentalit degli italiani, che preferiscono il proprio tornaconto al bene dello Stato. Ci che ho apprezzato di piu di questo libro  il linguaggio utilizzato da Augias: semplice, diretto, critico i con una buona dose di umorismo, tipico dello scrittore romano. Quindi mi sento di consigliare a tutti un’accurata lettura di questo libro, soprattutto agli italiani, utilissimo per una sana autocritica.

Aleksandra Łakomic

Rejs pośród zapomnianych ziem, czyli *Legenda żeglujących gór* Paola Rumiza

„Wyruszyłem, żeby uciec od świata, a tymczasem odnalazłem świat: niespodziewanie podróż objawiła mi Włochy tajemne i pełne życia”¹. W czasach, gdy swobodne podróżowanie zdaje się jedynie odległym marzeniem, słowa pochodzące z *Legendy żeglujących gór* zaczynają nabierać nowego znaczenia. Poniższy utwór to bezpośrednie zaproszenie czytelnika do wejścia na pokład okrętu przemierzającego morze, z którego wyłaniają się włoskie góry. Każdy rozdział pozwala odkryć tajemnice skrywane w Alpach i Apeninach, przez które wiedzie kręta trasa wędrówki opisaney w powieści. Warto dodać, że nie jest to typowy przewodnik turystyczny, lecz podróż w głąb siebie i wzdłuż zapomnianych dolin i szczytw tego geograficznego kręgosłupa kraju. Autorem książki jest korespondent wojenny, podróżnik i publicysta “La Repubblica”, Paolo Rumiz, laureat nagrody im. Maxa Davida dla włoskiego korespondenta roku, a także nagrody im. Ernesta Hemingwaya za reportaże z Bośni.

Legenda żeglujących gór to zapis podroży odbytych przez Rumiza w 2003 i 2006 r., podczas których przebył on aż osiem tysięcy kilometrw. To metaforyczna opowieść o kraju niepozabawionym problemw, który jednak posiada jeszcze swoje *locus amoenus*. Włoskie góry roztaczają wokł siebie wyjątkow atmosferę, nie jest więc dziwne, że ich liryczny opis przypomina legendę. Autor przemierza góry

wzdłuż i wszerz, stroniąc tym samym od typowych turystycznych destynacji. W Alpach przemieszcz się głownie pociągami i rowerem, a w Apeninach jego jedynym srodkiem transportu zostaje Nerina, czyli zabytkowe Topolino z 1953 r. Pisarz swoj podróż rozpoczyna w północno-zachodniej Chorwacji, w okolicy Fiume. Historyczne nawiązania do miejscowości znajdujcej się niegdys na terenie Włoch staj się pretekstem do odszukania pocztku Alp². Warto podkreślić, że literacki reportaż Rumiza o grach to także opowieść o osobach zamieszkujcych te tereny. Można wręcz stwierdzić, że dziennikarz z łatwością nawiązuje kontakty z nieznanymi i posiada swoisty talent do napotykania przypadkowych osób, których opowieści i świadectwa staj się inspiracją do dalszej podroży. Mieszkańcy wysokich łańcuchw górskich wyrzekli się pędu i dbr świata doczesnego, by cieszyć się spokojn egzystencją. Publicysta wychodzi z założenia, że ludzie i miejsca, do których najtrudniej dotrzeć, skrywają największe tajemnice, a jego podróż jest tego doskonałym potwierdzeniem. Pisarzowi udaje się bowiem zawędrować do najbardziej ukrytych zakamarkw włoskich gór i poznać wiele nieprawdopodobnych historii tamtejszych mieszkańców. Jedna z nich opowiada o wiosce, w której każdego roku upamiętnianie Mki Pańskiej odbywa się w sposób dosłowny, z krwi i łamanymi kończynami, a nawet

Judaszem, który zawisa na gałęzi. Inna mówi o człowieku, który odgrywa koncerty na swej wiolonczeli dla leśnej publiczności. Historia jest o tyle niezwykła, iż dotyczy lasu, z którego pochodzą skrzypce Stradivariusa, a muzyka wygrywana z wiolonczeli zaczarowuje okoliczn przyrodę, która zdaje się wtrować dźwiękom instrumentu.

Niewtpliwie Rumiz jest dobrym słuchaczem, a umiejtność ta, połączona z intuicj doświadczonego podróżnika sprawiają, że pisarz może przedostać się do równoległej rzeczywistości, która nie ma nic wspłnego z konsumpcyjnym społeczeństwem współczesnego świata. I tak już na pocztku historii spotyka Maura Coronę – alpinistę i nomadę, który opowiada o tym, jak wyglda życie w dolinie Vajont po katastrofie z 1963 roku³, a potem Patrizię i Cinzię z Formentary, które należą do zrzeszenia kobiet wypasajcych stada owiec. Istotnym elementem *Legendy żeglujących gór* jest również kwestia klimatu i ekologii. W jednym z rozdziałw Paolo udaje się w wędrówkę z Faustem De Stefani – alpinist i zdobywc czternastu ośmiotysięczników. To spotkanie przedstawia czytelnikom zatrważajc kondy-

1 Te i nastpne cytaty pochodz z książki Paola Rumiza, *Legenda dei monti naviganti*, (pierwsze włoskie wydanie: Feltrinelli, Milano 2007) w tłumaczeniu Joanny Malawskiej *Legenda żeglujących gór*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2016.

2 12 wrzenia 1919 roku Gabriele D’Annunzio na czele grupy swoich zwolenników dokonał zajęcia Fiume (obecnie Rijeka) mając na celu przyłączenie Dalmacji do faszystowskich Włoch.

3 W chwili ukończenia budowy słynna zapor Vajont była najwyższ zapor wodn na świecie. Mimo ostrzeżeń geologw o niestabilnej strukturze sąsiadujcej gry Toc, lokalne władze zdecydowały się ją uruchomić. 9 października 1963 r. w wyniku intensywnych opadw potężna lawina skalna osunęła się z grskiego zbocza do zbiornika retencyjnego powodujc ogromn falę, która doprowadziła do katastrofy naturalnej i śmierci ok. 2000 osób.

cję, w jakiej znajdują się Alpy. Rumiz komentuje topnienie lodowców pisząc: „Padania tonie pod nagrobny materacem szarego powietrza. Zastanawiam się, czy ktoś tam na dole – jakiś współczesny Noe – buduje Arkę, by uciec przed potopem. [...] Tu można z całą mocą odkryć „wielki lęk” klimatyczny, wiem jednak, że język dziennikarski nie wystarczy, żeby oddać to co się tutaj dzieje. Ziemia ginie od kilkudziesięciu lat? Katastrofa, która trwa dziesięciolecia nie robi wrażenia? W całym utworze dziennikarz otwarcie przedstawia swoje poglądy i wielokrotnie krytykuje bierność rządzących i ich niepojętą chęć wzbogacania się kosztem gór. Jednym z doskonałych przykładów jest fragment poświęcony budowie tunelu dla pociągów kursujących z dużą prędkością. Początkowy podziw Rumiza dla włoskich robotników i konstruktorów kolei budzi sprzeciw czytelników i ukazuje drugie oblicze wielkich inwestycji. Przykładowa budowa tunelu, która

wiąże się z ogromnymi zyskami przedsiębiorców i władz to również ogromny cios dla środowiska i pozbawienie Apeninów stu dwudziestu milionów metrów sześciennych wody w przeciągu kilku lat.

Na koniec chciałabym jeszcze zwrócić uwagę na nadzwyczajną wrażliwość językową Paola Rumiza. Podczas lektury nie sposób było nie zauważyć, z jaką wnikliwością podróżnik analizuje nazwy dolin, szczytów i miejscowości. Niestety wnioski jego obserwacji nie napawają optymizmem. Dziennikarz stwierdza: „Nie znam żadnego innego narodu, który przyglądałby się tak biernie wymieraniu miejsc. To wiadać nawet po tablicach informacyjnych, gdzie nazwy miejscowości mieszają się z nazwami hipermarketów. Kolonie, wyżyny, strumienie tracą swoje nazwy – ostatni bastion tożsamości”. Poniższy fragment, oprócz leksykalnej niedbałości Włochów, pokazuje również, jaki cel przyświeca Rumizowi podczas tej niecodziennej

podróży – ocalić od zapomnienia dziedzictwo włoskich gór.

Myszę, że warto wyruszyć w rejs pośród szczytów Italii, ponieważ ta unikalna rzeczywistość powoli zanika. Konsumpcjonizm i industrializacja sprawiają, że Alpy i Apeniny tracą swoich mieszkańców. Jednak literacki reportaż Paolo Rumiza podkreśla, że te łańcuchy górskie wciąż rozpościerają wokół swoją magię. Każda strona utworu to dowód na ogromny podziw i zamiłowanie autora do gór, ale także do ich mieszkańców. Dzięki niemu mamy niepowtarzalną okazję poznać historię, kulturę i tradycje wieloetnicznych społeczności, o których niestety świat zapomniał. Według mnie podczas lektury trudno oprzeć się pasji, z jaką Rumiz opisuje odwiedzane miejsca, a sposób narracji sprawia, że sam czytelnik zdaje się odbywać podróż i odkrywać tajemnice skrywane w żeglujących górach.



Aleksandra Łakomic

La crociera lungo le terre dimenticate, ossia Leggenda dei monti naviganti di Paolo Rumiz

“Ero partito per fuggire dal mondo, e invece ho finito per trovare un mondo: a sorpresa, il viaggio è diventato epifania di un’Italia vitale e segreta”¹. Nei tempi in cui viaggiare sembra essere solamente un sogno inverosimile, le parole provenienti dalla *Leggenda dei monti naviganti* assumono un significato nuovo. L’opera sottostante è un invito a salire a bordo di una nave, un incentivo a solcare le onde del mare da cui emergono le montagne italiane. Ogni capitolo permette di svelare i segreti che nascondono le Alpi e gli Appennini. Vale la pena aggiungere che non si tratta di una tipica guida turistica, bensì di un viaggio dentro se stesso e lungo le valli e le vette dimenticate della spina dorsale del paese. L’autore di questo libro è Paolo Rumiz, corrispondente di guerra, viaggiatore e giornalista de “La Repubblica”, nonché vincitore del Premio Max David come migliore inviato italiano dell’anno e del Premio Hemingway per i reportage in Bosnia.

Leggenda dei monti naviganti è proprio una cronaca dei viaggi realizzati da Rumiz nel 2003 e nel 2006, durante i quali ha percorso 8.000 chilometri. È una storia metaforica del paese che non è scevro da problemi, ma che possiede ancora il suo *locus amoenus*. Le montagne italiane diffondono intorno a se stesse un’atmosfera mitica, non è strano quindi che la loro descrizione lirica assomigli a una leggenda. L’autore

attraversa le montagne in lungo e in largo, allontanandosi dalle tipiche destinazioni turistiche. Nelle Alpi viaggia soprattutto in treno e in bicicletta, mentre negli Appennini il suo unico mezzo di trasporto diventa Nerina, cioè il Topolino d’epoca del 1953. Lo scrittore comincia il suo itinerario nella Croazia nord-occidentale, nei dintorni di Fiume. I riferimenti storici alla città che nel passato faceva parte dell’Italia diventano il pretesto per trovare il punto di origine delle Alpi². Vale la pena sottolineare che il reportage letterario di Rumiz sulle montagne è anche una storia sulle persone che abitano queste terre. Si deve ammettere che il giornalista stabilisce facilmente i contatti con gli sconosciuti e possiede un talento particolare di incontrare a caso le persone che poi lo ispirano per proseguire il viaggio. Gli abitanti delle alte catene montuose hanno rinunciato alla vita frenetica del mondo moderno per poter godersi pienamente l’esistenza. Il pubblicitista parte dal presupposto che le persone e i luoghi difficilmente raggiungibili celano i segreti più grandi e il suo viaggio è una conferma di queste parole. Lo scrittore riesce a vagare fino alle parti più nascoste delle montagne italiane e a conoscere tante storie incredibili. Una di queste racconta di un villaggio in cui la commemorazione della Passione si svolge in modo letterale, con il sangue, con le ossa rotte, e persino con Giuda che pende da un albero. Un’altra tratta di un uomo

che tiene concerti per violoncello al suo pubblico nella foresta. La storia è così eccezionale in quanto riguarda il bosco, dal quale proviene il violino di Stradivari, e la natura circostante che sembra suonare insieme allo strumento rimanendone incantata.

Indubbiamente Rumiz è un ottimo ascoltatore e questa capacità va di pari passo con l’intuizione del viaggiatore, facendo in modo che lo scrittore possa entrare nella realtà parallela, che ha niente a che fare con la società consumista. Già all’inizio del libro incontra Mauro Corona – alpinista e nomade che racconta come si vive nella Valle di Vajont dopo la strage annunciata nel 1963³. Successivamente, conosce Patrizia e Cinzia di Formentera, che appartengono al consorzio di allevatrici di pecore. Inoltre, un elemento rilevante della *Leggenda dei monti naviganti* è costituito dai temi dell’ecologia e del clima. In uno dei capitoli Paolo intraprende un’escursione con Fausto De Stefani – alpinista e conquistatore dei quattordici Ottomila. Questo incontro serve come spunto per presentare la condizione allarmante delle Alpi. Rumiz commenta lo scioglimento dei ghiacci nel modo seguente: “La Padania affonda in un

1 Questa e le seguenti citazioni vengono dal libro di Paolo Rumiz, *Leggenda dei monti naviganti* (la prima edizione italiana: Feltrinelli, Milano 2007). La traduzione polacca svolta da Joanna Malawska: *Legenda żeglujących gór*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2016.

2 Il 12 settembre del 1919 Gabriele D’Annunzio, guidando un gruppo dei suoi seguaci, occupò la città di Fiume (Rijeka) al fine di proclamare l’annessione della Dalmazia all’Italia fascista.

3 Quando venne costruita, la diga del Vajont era la più alta del mondo. Nonostante gli avvertimenti dei geologi sulla struttura instabile dell’adiacente Monte Toc, le autorità locali decisero di farla funzionare. Il 9 ottobre del 1963 a causa delle intense piogge, un’enorme frana si staccò dalle pendici della montagna provocando un’onda gigante nella valle del Vajont. Di conseguenza, questa strage annunciata provocò un disastro naturale e la morte di circa 2.000 persone.

funebre materasso d'aria grigia. Mi chiedo se laggüü qualcuno – un Noè moderno – stia costruendo un'arca per sfuggire al diluvio. [...] L'imminenza di una "grande paura" climatica è perfettamente percepibile da qui, ma so che il linguaggio giornalistico non basta per raccontare cosa sta per succedere. La Terra collassa da decenni? Un disastro che dura decenni non fa notizia". Il giornalista presenta apertamente le sue opinioni, molte volte critica l'inertza dei politici e la loro volontà insopprimibile di arricchirsi a scapito delle montagne. Il brano che illustra questa tendenza si può trovare nel capitolo dedicato alla costruzione del tunnel per i treni ad alta velocità. Il rispetto iniziale di Rumiz verso gli operai e i costruttori italiani suscita le obiezioni dei lettori e dietro a tali investimenti si svela anche l'altra faccia della medaglia. Da una parte la costruzione del

tunnel è legata ad un enorme profitto degli imprenditori e delle autorità locali, ma, dall'altra, è un brutto colpo per l'ambiente con la perdita di centoventi milioni di metri cubi d'acqua negli Appennini nell'arco di qualche anno.

Infine, vorrei focalizzarmi sull'eccezionale sensibilità linguistica di Paolo Rumiz. Durante la lettura è impossibile non notare la perspicacia con cui il viaggiatore analizza i nomi di valli, cime e località. Purtroppo, le conclusioni delle sue osservazioni non infondono ottimismo. Il giornalista constata: "Non conosco nessuna nazione che assista così passivamente alla morte dei luoghi. Lo si vede già dalla segnaletica, da come i cartelli dei paesi si mescolano a quelli degli ipermercati. Le frazioni, le alture, i ruscelli stanno perdendo il nome, ultimo presidio dell'identità". Il brano seguente, al di là della negligenza lessicale degli italiani, ci mostra l'obiettivo per il quale Rumiz intraprende questo viag-

gio, cioè salvare il patrimonio delle montagne italiane dall'oblio.

Penso che valga la pena veleggiare nel bel mezzo delle cime italiane, dato che questa realtà unica sta per scomparire. Il consumismo e l'industrializzazione fanno sì che le Alpi e gli Appennini perdano i loro abitanti. Tuttavia, il presente reportage letterario sottolinea come le catene montuose diffondano ancora la loro atmosfera mitica. Ogni pagina del libro ribadisce l'ammirazione e la passione dell'autore per le montagne e per la gente di queste zone. Grazie a Paolo Rumiz abbiamo l'opportunità unica di conoscere la storia, la cultura e la tradizione delle società multietniche che il mondo ha dimenticato.

A mio avviso è impossibile resistere al suo modo di narrazione traboccante di passione. Immergendosi nell'opera, il lettore sembra viaggiare e scoprire i segreti nascosti nei *monti naviganti*.

Christian Gasperi

Paolo Rumiz, *L'Italia in seconda classe*

Każda podróż jest swoistą przygodą, czymś, co pozostawia ślad w pamięci. Nawet jeżeli codziennie przemierzamy tę samą trasę, nawet jeżeli wydaje nam się, że nam się znudziła, a nawet, że mamy jej już dość, to za każdym razem przeżywamy ją inaczej. To właśnie łączy nas wszystkich, gdyż wszyscy w końcu jesteśmy podróżnikami.

Doświadczenie podróży pociągiem jest czymś szczególnym. Oczywiście należy przyjąć odpowiedni punkt widzenia, który pozwala wyczuć w tych raczej banalnych szczegółach przemieszczania się na szynach coś więcej: uczucia, obrazy, wspomnienia, doświadczenia, pasje i nadzieje. Wiemy zatem, że każdy przeżywa na własny sposób identyczną sytuację, która tylko pozornie jest identyczna. To samo dotyczy podróżowania. Każdy miłośnik kolei, transportu zbiorowego, transportu szynowego wskaże zapewne, że w momencie, w którym następuje rozruch pojazdu, w tym momencie, w którym pojazd wsparty na szynach zaczyna się ruszać, wyczuwa się początek przygody.

L'Italia in seconda classe Paola Rumiza "nie jest książką o kolei, nawet jeżeli zbiera tu i ówdzie odgłosy i myśli podróżnych i kolejarzy. To podróż po Włoszech, w drugiej klasie", odbyta w lecie 2002 roku, a której odcinki zostały opublikowane w owym czasie w "La Repubblica". Z tego powodu nie znajdziemy tu szczegółowych informacji dotyczących infrastruktury kolejowej, wskazówek turystycznych czy geograficznych, ale niesamowitą ilość drobnych, można by rzec, notatek. Podróżnik zbiera je, przejeżdżając setki kilometrów, oglądając za szybą jeden świat, który jest dynamiczny, zmienia się stale tak, jakby to on się poruszał, a nie my, i względem którego jesteśmy statycz-

nymi obserwatorami, i drugi, wewnątrz składu, którego jesteśmy aktywnymi uczestnikami i możemy go analizować. Zakład Paola Rumiza, dziennikarza oraz wysłannika specjalnego, i 740, tajemniczego towarzysza w podróży, polega na przemierzeniu Włoch pociągami regionalnymi, najlepiej liniami drugorzędnymi, tak by osiągnąć kilometrą równy Kolei Transsyberyjskiej. Czym jest 740? Liczba ta określa "Siódemkę i czterdziestkę", najbardziej niezwykłą lokomotywę włoskiej produkcji. Poszukajcie w książce o historii Włoch jej charakterystycznego, niemożliwego do podrobienia kształtu. Ikona narodu, jak nos Bartaliego czy mundur karabinierów. Archetyp kolei. Towarzysz podróży jest powszechnie znany, "chce zniknąć w sieci, i oczekuje tej nielegalnej podróży jak wyzwolenia". Każda dobra podróż ma tajemnicę. W podróży czytelnikowi towarzyszą kreskówki Francesca Tullia, znanego jako Altan. Dodają one do historii opowiedzianej przez podróżnika szczyptę kryminału, występują w nich bowiem Rosjanie, którzy z Władywostoku szpiegują naszych bohaterów. Wzmianka o Rosji nie jest przypadkowa, ponieważ należy pamiętać, iż w pierwszym dziesięcioleciu nowego tysiąclecia stosunki dyplomatyczne pomiędzy Moskwą a Rzymem były bardzo dobre. Wystarczy wspomnieć, że włoskim Prezesem Rady Ministrów był wówczas Silvio Berlusconi. "La Repubblica", gazeta o tradycyjnie lewicowym nastawieniu, miała wobec rządu dosyć krytyczne opinie.

Czytelnik zwróci uwagę, że każdy rozdział dotyczy chronologicznie innego etapu podróży. Klucz do niego pozwalają znaleźć tytuły rozdziałów: "Na nielegalnym torze", "Dworcowidma", "Pociąg kobiet", "Panienka na parę",

"Na grzbiecie pociągu-muła", "Piękna i niemożliwa". Każdym elementem kluczowym jest emocja, myśl, punkt widzenia, które utrwalają się w pamięci.

Wyruszając z Florencji, dociera się do Gorycji, przemierzając po drodze Sycylię z dworcami-widmami, Kalabrię z zapomnianym pociągiem Sili, Kampanię z nadzwyczajnie gęstymi liniami kolejowymi, Umbrię z już nieczynną linią Sangritana, Toskanię pociągów parowych, Emilię-Romanię z wielkim węzłem kolejowym w Bolonii, Ligurię z pociągami ocierającymi się o morze, połączone z Europą Piemont oraz Lombardię, a na koniec północny-wschód, czyli dawne ziemie habsburskie w klimacie Orient Expressu.

Wystarczy zatem wybrać odpowiedni pociąg w odpowiedniej chwili. Podróż ta opiera się na pociągach lokalnych, dlatego że ich bliskość w stosunku do ludzi pozwala na poznanie ich ziemi. „Po raz pierwszy, ladies and gentlemen, nie zapinajcie pasów bezpieczeństwa. Don't fasten your seat belt. Wyruszamy pociągiem, Kopciuszką transportu. Przemierzamy Włochy drugą klasą, zapomnianymi liniami. A zatem wyrzucie do morza duty free, gate, flight, hostess i check-in, porzucicie salki biznesowe parlamentarzystom oraz dyrektorom. To podróż hardkorowa oparta na zwrotnicach, zmianach ciśnienia, węgla. I my w nią wyruszamy. Podróż się zaczyna”.

Rozpoczynamy zatem kroniki kolejowe.

Podróż jest z założenia czymś surrealitycznym, bo idea podróżowania przekracza fizyczny fakt przemieszczania się. Możemy podróżować wewnętrznie i zewnętrznie, podróż zaczyna się, zanim jeszcze zrobimy ten pierwszy krok, któ-

ry daje początek nowej przygodzie, a kończy się znacznie później niż w momencie dotarcia do celu, rzeczywistego czy wyobrazonego. Podróż to coś osobistego. Możemy przeżyć po-

dróż wspólnie, ale inaczej, rzeczy, które zostaną w pamięci, będą się różnić. Niespójne będą dźwięki, obrazy, smaki i zapachy, którymi będziemy opisywać to, co słyszeliśmy, widzieli-

śmy, skosztowaliśmy, powąchaliśmy.

Podróż jest życiem, życie jest podróżą.

Christian Gasperi

Paolo Rumiz, *L'Italia in seconda classe*

Ogni viaggio è per antonomasia un'avventura, qualcosa che rimarrà impresso nella memoria. Anche se ogni giorno percorriamo lo stesso tragitto, anche se ci pare di annoiarci, anzi siamo magari già stufi, ogni volta che lo viviamo diversamente. Ed è ciò che accomuna tutti noi, che alla fin dei conti siamo viaggiatori.

L'esperienza del viaggio in treno è qualcosa di particolare. Ovviamente si deve trovare un'ottica adatta, ossia quello spirito che permette di percepire nei dettagli abbastanza banali di questo spostamento sulle rotaie qualcosa in più, sensazioni, immagini, ricordi, esperienze, passioni e speranze. Sappiamo dunque che ognuno vive al proprio modo la stessa identica situazione, che identica non lo è per nulla. Questo vale anche per il viaggio. Ogni appassionato di ferrovie, trasporto pubblico, trasporto su rotaia, sicuramente indicherà che il momento in cui avviene lo strappo, il momento nel quale il mezzo collocato sulle rotaie inizia a muoversi, in quell'attimo sì che si percepisce l'inizio di un'avventura.

L'Italia in seconda classe di Paolo Rumiz "non è un libro sulla ferrovia questo, anche se raccoglie qua e là umori e pensieri di viaggiatori e ferrovieri. È un viaggio in Italia, in seconda classe" compiuto nell'estate del 2002 le cui puntate sono state pubblicate a quel tempo su "La Repubblica". Per questo motivo non troveremo informazioni dettagliate sull'infrastruttura ferroviaria, indicazioni turistiche o geografiche, ma una miriade di piccole, verrebbe da dire, note che un viaggiatore, percorrendo centinaia di chilometri, coglie guardando sia il mondo al di là del finestrino, che è dinamico, cambia in continuazione come se fosse egli stesso in movimento, ma al quale siamo passivi spettatori, sia quello dentro il convoglio, di cui siamo spettatori attivi, possiamo interagirci, analizzarlo. La scommessa di Paolo Rumiz, giornalista e inviato speciale, e di 740, un misterioso compagno di viaggio, è di percorrere l'Italia in treni regionali, preferibilmente su linee secondarie e compiere un tragitto dalla lunghezza pari della Transiberiana. Che cos'è 740? Il numero si riferisce alla "Sette e quaranta", la più straordinaria locomotiva italiana. Cercate in un libro di storia patria la sua linea forte, tarchiata, inimitabile. Un'icona nazionale, come il naso di Bartali o la divisa dei carabinieri. L'archetipo, il paradigma della vaporiera. Un compagno di viaggio noto, che "vuol sparire nella rete, e aspetta questo viaggio clandestino come una liberazione". Ogni buon viaggio ha un mistero. Lungo tutto il percorso il lettore è accompagnato dalle

vignette di Francesco Tullio, conosciuto come Altan, che aggiungono alla storia narrata dal viaggiatore un pizzico di giallo, coi russi che da Vladivostok cercano di pedinare i nostri protagonisti. Il riferimento alla Russia non è sorprendente, poiché bisogna riconoscere che in quegli anni del primo decennio del nuovo millennio i rapporti tra Mosca e Roma erano molto buoni, basti rammentare che il Presidente del Consiglio dei Ministri italiano era allora Silvio Berlusconi. "La Repubblica", giornale tradizionalmente legato alla sinistra, aveva posizioni abbastanza critiche.

Il lettore troverà che ogni capitolo è legato a una differente tratta, in ordine cronologico. Per titolo si coglie l'elemento chiave di quel viaggio, ad esempio "Sul binario illegale", "Le stazioni fantasma", "Il treno delle donne", "La Signorina a vapore", "A dorso del treno-mulo", "Bella e impossibile". Ogni elemento chiave è un'emozione, un pensiero, uno scorcio che rimane impresso nella mente.

Partendo da Firenze si arriva a Gorizia, passando per la Sardegna colle sue incantevoli ferrovie a scartamento ridotto, la Sicilia colle innumerevoli stazioni fantasma, la Calabria col dimenticato treno della Sila, la Campagna col'eccezionale densità di linee ferroviarie, l'Umbria colla oramai soppressa ferrovia Sangritana, poi la Toscana dei treni a vapore, l'Emilia-Romagna col grande nodo di Bologna, la Liguria coi treni a filo del mare, il Piemonte e la Lombardia collegate coll'Europa e infine il Nord-Est, terre asburgiche coi climi dell'Orient Express.

Basta dunque prendere il treno giusto al momento giusto. Il viaggio si basa sui treni locali, poiché proprio nella loro vicinanza al territorio, permettono di scoprirlo. Per una volta, ladies e gentlemen, non allacciatevi le cinture. Don't fasten your seat belt. Si parte in treno, la Cenerentola dei trasporti. Si fa l'Italia in seconda classe, per linee dimenticate. E

allora buttate a mare duty free, gate, flight, hostess e check-in; lasciate le salette business a parlamentari e commendatori. Questo è un viaggio hard, fatto di scambi, pulegge, turbocompressori e carbone. E noi lo faremo. Siamo in ballo. Il viaggio comincia".

Iniziamo dunque queste cronache ferroviarie.

Il viaggio di per sé è qualcosa di surreale, poiché il concetto di viaggiare va oltre al solo fatto fisico dello spostamento. Possiamo viaggiare interiormente ed esteriormente, il viaggio inizia ancor prima che si faccia quel passo che dà lo slancio per una nuova avventura, e finisce molto più tardi rispetto all'arrivo a destinazione, fisica o metafisica che sia.

Il viaggio è qualcosa di personale. Possiamo vivere un viaggio insieme ma sempre diversamente, le cose che rimangono impresse nella memoria risulteranno differenti, incongrui saranno i suoni e le immagini e i sapori e odori coi quali descriveremo ciò che abbiamo sentito e visto e assaggiato e annusato.

Il viaggio è la vita, la vita è un viaggio.



Cappella della Madonna di Vitaleta, Val d'Orcia, Toscana
(aut. Irene Fioravanti)

Katarzyna Hapon

Tiziano Terzani o tym, że *Nic nie zdarza się przypadkiem*

Nieprawdopodobnym przypadkiem mój ciekawski wzrok spoczął pewnej niedzieli na książce Tiziana Terzani. Co więcej, nie tylko kolokwialnie „rzuciłam” na nią okiem, ale postanowiłam ją zabrać do domu i przeczytać. Jakby tego jeszcze było mało, następnego dnia, zobaczyłam ogłoszenie o konkursie na napisanie recenzji książki włoskiego autora. Aż chciałoby się powiedzieć: „Davvero?”

Książka w oryginale została wydana w 2004 roku w Mediolanie. Ja natomiast przeczytałam ją w polskim tłumaczeniu Anny Osmólskiej-Mętrak, wydanym w 2014 roku w Warszawie (wydawnictwo Świat Książki). Książka Tiziana Terzani stanowi obszerny zbiór osobistych doświadczeń dotyczących przebytej przez autora drogi w związku ze zdiagnozowanym rakiem. Dzieło to jest przy tym wzbogacone o szereg wniosków wysnutych na podstawie podejmowanych prób leczenia. Co ciekawe, wnioski te wykraczają poza przemyślenia osobiste autora i podejmują problemy świata, człowieka i życia.

Gdy pewnego dnia Terzani otrzymuje swego rodzaju wyrok, czyli dowiadyuje się, że ma raka, staje przed dylematem życiowym. W jego umyśle pojawia się pytanie – komu powierzyć swoje zdrowie i życie? Dodatkowo nieustannie towarzyszy mu problematyka zbliżającej się śmierci. Pomimo niechęci do medycyny współczesnej, decyduje się właśnie na nią. To wydarzenie jest punktem początkowym jego podróży, nie tylko po dłuższe życie, ale także zrozumienie świata, siebie oraz tego wszystkiego, czego nasz umysł nie jest w stanie dostrzec. Jest leczony w Nowym Jorku, do którego odnosi się krytycznie. Dzieli rzeczywistość nowojorską na dwie epoki – przed i po 11 września. W pracy dziennikarza zagranicznego nierzadko doświadczał wojen,

konfliktów wewnętrznych oraz upadków reżimów politycznych, ale wydarzenia z 11 września uważał za swego rodzaju Rubikon, który spowodował nieodwracalną zmianę w sposobie funkcjonowania społeczeństwa amerykańskiego.

Terzani nie ogranicza się tylko do nowoczesnych form leczenia, korzysta także z medycyny alternatywnej. Jego refleksje opierają się na logice, ponieważ niczego nie przyjmuje dogmatycznie. Co więcej, niektóre orientalne metody nawet obala! Istotne, dla mnie jako czytelnika, jest jego spojrzenie na pewne braki w obu tych sposobach leczenia. Medycyna nowoczesna koncentruje się przede wszystkim na ciele, orientalna zaś wydaje się zbyt oderwana od świata materialnego.

Ponadto szczególnie przypadła mi do gustu całościowa i pogłębiona analiza podejmowanych terapii, zarówno tych alternatywnych jak i klasycznych. A trzeba przyznać, że autor wypróbował ich wiele m.in. klasyczna chemioterapia, energoterapia, ajurweda.

Terzani był z zawodu dziennikarzem, lecz prowadził życie podróżnika. Częścią jego pracy było stałe utrzymywanie kontaktów z ludźmi po to, aby móc szybciej uzyskać niezbędne informacje. Autor był szczególnie związany z Bliskim Wschodem oraz pozostawał całe życie pod jego ogromnym wpływem. Widoczne jest to w książce, co z łatwością czytelnik jest w stanie sam odkryć poprzez niezliczone wtrącenia dotyczące życia w tamtym regionie. Dla mnie, jako osoby nieszczególnie znającej się na tej tematyce, niektóre rozdziały stanowiły prawdziwe wyzwanie. Niezwykle przydatne w tej kwestii, okazały się przypisy autorskie, które w sposób treściwy uzupełniły ewentualny niedostatek wiedzy w danej materii.



Katarzyna Hapon

Tiziano Terzani su come “niente accade per caso”

Traduzione: Vanda Asipenka

Per un'improbabile coincidenza, una domenica i miei occhi curiosi si sono posati su un libro di Tiziano Terzani. Per di più, non solo ho per così dire “dato un'occhiata”, ma ho deciso di portarlo a casa mia e di leggerlo. Come se non bastasse, il giorno successivo ho visto l'annuncio di un concorso per la recensione del libro di un autore italiano. Adirittura, mi è venuta voglia di dire: “Davvero?”

Originariamente, il libro è stato pubblicato nel 2004 a Milano. Io invece l'ho letto nella traduzione polacca di Anna Osmólska-Mętrak,

pubblicata nel 2014 a Varsavia (la casa editrice Świat Książki). Il libro di Tiziano Terzani costituisce una vasta raccolta di esperienze personali riguardanti il percorso dell'autore dal momento della diagnosi del cancro. Allo stesso tempo quest'opera è arricchita da una serie di conclusioni formulate in seguito ai tentativi di cura intrapresi. È interessante notare che queste conclusioni sovrappongono le riflessioni personali dell'autore, affrontando problemi del mondo, dell'uomo e della vita.

Quando un giorno Terzani riceve la sen-

Innym godnym uwagi wątkiem dla mnie były, choć nie są wyrażone w książce bezpośrednio, relacje autora z żoną. Uważam, że wyrozumiałość i cierpliwość małżonki Terzani jest nadzwyczajna. Jej mąż przez długi czas przebywał w różnych miejscach świata samotnie, dystansując się praktycznie całkowicie od społeczeństwa. Taka postawa, na którą, podejrzewam, sama nie byłabym w stanie się zdobyć, zasługuje przynajmniej na kilka pochlebnych zdań.

Czytając książkę, czułam się nieustannie zaskakiwana przez autora, który w sposób swobodny i naturalny przechodzi od tematów szpitalnych poprzez wspomnienia z Azji, aż do anegdot i własnych dogłębnych przemyśleń o problemach współczesnego świata. Dosadność języka i bezpośredniość przy wyrażaniu poglądów to tylko dwie, wybrane przeze mnie cechy, które pragnę podkreślić, dotyczące sposobu przekazywania myśli w książce. Chociaż wnioski autora z obserwacji społeczeństwa są dosyć gorzkie, to nie można odmówić mu słuszności w wielu kwestiach, jak choćby indywidualistyczny tryb życia czy nadmierny materializm ówczesnego społeczeństwa.

Dla mnie ta książka stanowi źródło wielu nowych, wcześniej nieznanych perspektyw życiowych. Podejmowana tematyka egzystencjalna pozwoliła mi szerzej spojrzeć na problemy, o których wcześniej nie myślałam bądź myślałam niewiele. Odnoszę również wrażenie, że każdy rozdział opiera się na poszukiwaniu raz lekarstwa dla ciała, raz dla duszy.

Kończąc, czuję wewnętrzną powinność, aby uprzedzić czytających recenzję, o tym, że rozmiar książki nie jest zachęcający, ponieważ liczy aż 718 stron! Natomiast treści w niej prezentowane są, z całą pewnością, godne polecenia.

rato a New York, la quale tratta con uno spirito critico. Divide la realtà di New York in due epoche: prima e dopo l'11 settembre. Nel suo lavoro di giornalista straniero non di rado aveva vissuto guerre, conflitti interni e cadute di regimi politici, ma considerava gli eventi dell'11 settembre una sorta di Rubicone che ha provocato un cambiamento irreversibile del modo in cui la società americana funzionava.

Terzani non si limita alle forme moderne di cura, ma utilizza anche la medicina alternativa. Le sue riflessioni si fondano sulla logica, poiché non accetta niente dogmaticamente. Inoltre, confuta persino alcuni metodi orientali! Per me come lettrice, è importante la sua opinione su alcune imperfezioni di entrambi i metodi di trattamento. La medicina moderna si concentra in primo luogo sul corpo, e quella orientale, invece, sembra essere troppo distaccata dal mondo materiale.

Per di più, mi è piaciuta particolarmente l'analisi completa e approfondita delle terapie intraprese, sia quelle alternative che classiche. Devo ammettere che l'autore si è sottoposto a molte terapie, tra cui la chemioterapia classica, la terapia energetica, l'ayurveda.

Di mestiere Terzani faceva il giornalista; comunque, viveva una vita da viaggiatore. Face-

va parte del suo lavoro il contatto costante con le persone, al fine di poter ottenere più rapidamente informazioni necessarie. L'autore era particolarmente legato al Medio Oriente sotto il cui profondo influsso è rimasto per tutta la vita. Nel libro è visibile quello che il lettore è in grado di scoprire da sé stesso grazie a innumerevoli parentesi relative alla vita in quella zona. Per me, una persona senza una conoscenza particolare di questo argomento, alcuni capitoli hanno costituito una vera e propria sfida. A questo riguardo, le note dell'autore, che hanno concisamente colmato eventuali lacune, si sono rivelate estremamente utili.

Un altro motivo degno di nota per me, anche se nel libro non espresso direttamente, è stata la relazione fra l'autore e sua moglie. Credo che la comprensione e la pazienza della coniuge di Terzani siano straordinarie. Suo marito ha passato molto tempo da solo in varie parti del mondo, allontanandosi quasi totalmente dalla società. Un tale atteggiamento che presumo io non sarei mai stata in grado di assumere, merita almeno qualche frase di approvazione.

Leggendo il libro mi sentivo continuamente sorpresa dall'autore, che in modo libero e naturale passa dai temi ospedalieri attraverso le memorie dell'Asia, fino agli aneddoti e alle proprie

riflessioni profonde sui problemi del mondo contemporaneo. Vorrei sottolineare che il vigore del linguaggio e la schiettezza usati per esprimere le opinioni sono solamente due caratteristiche scelte da me riguardo al modo in cui le idee nel libro sono trasmesse. Nonostante le conclusioni dell'autore sulla società, tratte dalle sue osservazioni, siano abbastanza amare, non si può non ammettere che abbia ragione su molte questioni, come lo stile individualistico di vita oppure il materialismo estremo della società moderna.

Per me questo libro si presenta come una fonte di molte nuove prospettive di vita, prima mai conosciute. La tematica esistenziale affrontata mi ha permesso di dare uno sguardo più ampio ai problemi a cui non avevo pensato prima oppure a cui avevo pensato poco. Ho anche l'impressione che ogni capitolo si basi sulla ricerca di un rimedio, una volta per il corpo e un'altra volta per l'anima.

In conclusione, sento un obbligo interno di avvertire i lettori della recensione che la dimensione del libro non è incoraggiante, perché conta addirittura 718 pagine! D'altro canto, il contenuto presentato all'interno è, senza nessun dubbio, degno di essere raccomandato.

Davide Giuliodori

Recenzja Wywiadu z sobą samą Oriany Fallaci

Tłumaczenie: Piotr Kowalski

Na konkurs "Recensiamo ItaliAMO" postanowiłem przesać recenzję książki *Wywiad z sobą samą*, opublikowanej w Mediolanie w 2004 roku w języku włoskim przez pisarkę, dziennikarkę i aktywistkę Oriane Fallaci urodzoną we Florencji w 1929 roku. Jej rodzicami byli Edoardo Fallaci i Tosca Cantini. Po ukończeniu liceum i zdaniu matury przyszła pisarka rozpoczęła studia medyczne. Szybko zmieniła kierunek na literaturę. Jako zaledwie dwudziestolatka postanowiła zrezygnować ze studiów, aby poświęcić się dziennikarstwu. Jej pierwszy sukces wydawniczy o tytule *Il sesso inutile* (pol. *Niepotrzebna płeć*) sięga roku 1961. Wśród jej najważniejszych dzieł warto wspomnieć o *Niente e così sia* (pol. *Nic i amen*) z 1969 roku, dotyczącym trudnego okresu wojny w Wietnamie; *Wywiady z historią*, wydany w 1974 roku zbiór wywiadów z postaciami ze świata polityki; *Liscie do nienarodzonego dziecka* z 1975 roku, w którym autorka rozmawia z dzieckiem, które nosi w łonie, zastanawiając się, czy powinna dać mu życie; wydany w 1990 roku *Inszallah*, którego akcja toczy się w Libanie podczas wojny domowej; *Wściekłość i dumie* z 2001 roku, w której pisarka wypowiada się przeciwko fundamentalizmowi islamskiemu w następstwie ataku na World Trade Center.

Książka, którą chciałbym zrecenzować, należy do gatunku wywiadu autobiograficznego. Poza działalnością pisarską Fallaci wyróżniała się również jako dziennikarka. Była ona autorką wywiadów z najważniejszymi postaciami polityki, analiz kluczowych wydarzeń i najpoważniejszych problemów współczesnego świata. Wśród osób, z którymi Oriana Fallaci przeprowadzała wywiady, byli król Jordanii Husajn I, Võ Nguyễn Giáp, Pietro Nenni, Giulio Andreotti, Giorgio Amendola, arcybiskup Makarios, Alekos Panagulis, Nguyễn Cao Kỳ, Yasser Arafat, Mohammad Reza Pahlavi, Haile Selassie, Henry Kissinger, Walter Cronkite, Federico Fellini, Indira Gandhi, Golda Meir, Nguyễn Văn Thiệu, Zulfikar Ali Bhutto, Deng Xiaoping, Willy Brandt, Sean Connery, Mu'ammarr Gheddafi, Enrico Berlinguer, Tenzin Gyatso (późniejszy Dalajlama), Pier Paolo Pasolini i ajatollah Khomeini.

Jak na autobiografię przystało, książka dotyczy życia zarówno prywatnego, jak i zawodowego autorki, jej działalności wydawniczej i opinii na tematy o szerokim oddźwięku medialnym. Fallaci szerszej publiczności jest znana przede wszystkim z jej zdecydowanego sprzeciwu wobec terrorystów islamskich po zamachu na World Trade Center z 11 września 2001 roku – tematowi poświęcono wiele uwagi

również w tym dziele, co spotkało się z niejednoznaczną reakcją opinii publicznej, na którą składały się zarówno pochwały, jak i głosy krytyczne. Moim zdaniem książka w bardzo emblematyczny sposób przedstawia życie i poglądy autorki, skutecznie i głęboko analizując jej spojrzenie i opinie na ważne dla danej epoki problemy, takie jak wspomniany wyżej terroryzm islamski. Książka stanowi przepiękną wywiad z samą autorką – Oriana Fallaci do ostatnich stron dowodzi swojego profesjonalizmu i hartu ducha. Tom zachęca do ponownej lektury jej innych publikacji i jest prawdziwą przyjemnością, która kończy się dopiero z ostatnią stroną i wywołuje wrażenie zażyłości z wybitną dziennikarką i pisarką. Uważam, że jest to naprawdę bardzo interesująca pozycja, która pozwala zrozumieć, jak przebiegały wydarzenia, o których czytamy w podręcznikach do historii. Z drugiej strony nie przypadł mi do gustu sposób, w jaki Fallaci opisuje liczne słynne osobistości, głównie oczerniając je. W niektórych przypadkach nie podaje nawet prawdziwego nazwiska osoby, ale używa własnych określeń. Uważam tak nie dlatego, że czuję sympatię do tych postaci, ale po prostu dlatego, że są to szczegóły, które uważam za przesadne.

Daide Giuliodori

Oriana Fallaci *intervista Oriana Fallaci* - recensione

Per il concorso "Recensiamo ItaliAMO" ho deciso di presentare una recensione del libro *Oriana Fallaci intervista Oriana Fallaci*, pubblicato a Milano nel 2004 in lingua italiana dalla scrittrice, giornalista e attivista italiana Oriana Fallaci, nata a Firenze nel 1929 da Edoardo Fallaci e Tosca Cantini. Dopo il conseguimento della maturità classica, la futura scrittrice inizia a studiare Medicina per poi passare brevemente a Lettere. Appena ventenne decide di abbandonare gli studi per dedicarsi al giornalismo. Il suo primo successo editoriale, dal titolo *Il sesso inutile*, risale al 1961. Tra le sue opere più note e importanti ricordiamo *Niente e così sia*, del 1969, che tratta il delicato periodo della guerra in Vietnam; *Intervista con la storia*, pubblicato nel 1974, e che contiene una raccolta di interviste soprattutto con personaggi del mondo politico; *Lettera a un bambino mai nato*, del 1975, in cui l'autrice immagina di parlare con il bambino che porta in grembo, domandandosi se sia giusto o meno donargli la vita; *Insciallah*, pubblicato nel 1990 e ambientato in Libano ai tempi della guerra civile; *La rabbia e l'orgoglio*, del 2001, in cui la scrittrice si scaglia contro il fondamentalismo islamico in seguito agli attentati terroristici alle Torri Gemelle.

Il libro che ho voluto recensire appartiene al genere dell'intervista autobiografica. Oltre che come scrittrice, la Fallaci si è contraddistinta anche come giornalista. A questa attività hanno fatto seguito le interviste con importanti personalità della politica, le analisi dei fatti principali della cronaca e dei temi contemporanei più rilevanti. Tra i personaggi intervistati dalla Fallaci: re Husayn di Giordania, Võ Nguyễn Giáp, Pietro Nenni, Giulio Andreotti, Giorgio Amendola, l'arcivescovo Makarios, Alekos Panagulis, Nguyễn Cao Kỳ, Yasser Arafat, Mohammad Reza Pahlavi, Hailé Selassié, Henry Kissinger, Walter Cronkite, Federico Fellini, Indira Gandhi, Golda Meir, Nguyễn Văn Thiệu, Zulfikar Ali Bhutto, Deng Xiaoping, Willy Brandt, Sean Connery, Mu'ammār Gheddafi, Enrico Berlinguer, Tenzin Gyatso (che sarebbe poi diventato il Dalai Lama), Pier Paolo Pasolini e l'ayatollah Khomeini.

Essendo un'autobiografia, il volume parla proprio della vita sia privata che professionale dell'autrice, dei suoi lavori editoriali e delle sue opinioni su temi di estrema risonanza mediatica. La Fallaci è particolarmente conosciuta al grande pubblico per la sua netta presa di posizione contro i terroristi islamici all'indomani degli attentati alle Torri Gemelle dell'11

settembre 2001: tale tema viene affrontato ampiamente anche in quest'opera, ricevendo da parte dell'opinione pubblica pareri ambivalenti, costituite sia da elogi che da critiche. A mio avviso l'opera rappresenta in maniera molto emblematica la vita e il pensiero dell'autrice, riuscendo ad analizzare ottimamente le sue idee e le sue opinioni riguardo a molti argomenti di grande importanza per l'epoca, come il già citato terrorismo islamico. Il libro rappresenta una bellissima auto-intervista: Oriana Fallaci dimostra fino all'ultimo la sua grande professionalità e il suo spirito. Questo volume spinge a rileggere altri suoi scritti: un vero piacere che si divora fino all'ultimo e dà un senso di familiarità con la grande giornalista e scrittrice. Sento che questo è davvero un saggio molto interessante, un saggio che aiuta a comprendere come siano andati i fatti che leggiamo nei libri di storia. Quello che non ho particolarmente apprezzato è il modo in cui definisce molti personaggi potenti e famosi e lo fa in modo del tutto denigratorio, tanto che in alcuni casi non è nemmeno citato il nome reale ma solo un modo tutto suo di descriverlo. Non dico questo perché provi simpatia per queste persone ma semplicemente perché sono dettagli che io stesso trovo eccessivi.

Natalia Wiczorek

Doskonale niedoskonali

Recenzja książki Beatrice Alemagni *Pięciu nieudanych* (wersja polska: Wydawnictwo Dwie Siostry, Warszawa 2015, tłum. Ewa Nicewicz-Staszowska)

P*ięciu nieudanych* to niewielka kolorowa książeczka, która zaprasza czytelnika w wielką, urzekającą, pełną ciepła, niesamowitą podróż – podróż, która pozwala nam poznać samych siebie, podróż, która, jak to często się zdarza podczas wielkich wypraw, pozwala nam z dystansu spojrzeć na nasze słabości oraz odkryć nasze mocne strony.

W tej podróży już od samego początku towarzyszy nam pięcioro przyjaciół. To wyjątkowe postaci, które definiują siebie przez pryzmat swoich największych wad. Pierwszy spośród przyjaciół jest dziurawy, drugi jest zawsze złożony na pół, trzeci jest bardzo ospały i czuje się nieustannie zmęczony, bezsilny, czwarty stoi zawsze do góry nogami, a piąty jest tak nieudany, że „szkoda gadać”. Przyjaciele spędzają ze sobą dużo czasu, mieszkając razem w niewielkim domku i dobrze się dogadując, pomimo różniących ich wad. Pewnego dnia grupę przyjaciół odwiedza tajemniczy gość – i to w dodat-

ku idealny pod każdym względem! Jego wizyta stanowi punkt kulminacyjny utworu – bohaterowie diametralnie zmieniają sposób patrzenia na samych siebie. To, co do tej pory jawiło się im jako wada, przekształca się w ich największą zaletę – wszystko zależy od naszego sposobu postrzegania określonych cech, wszystko zatem zależy od nas samych! To, co o sobie mówimy, wpływa na to, jacy jesteśmy, i odwrotnie, to, jacy jesteśmy, determinuje sposób, w jaki na swój temat się wypowiadamy.

Autorka, współczesna włoska pisarka, Beatrice Alemagna, stworzyła na kartach tej niewielkiej książeczki, wydanej w 2015 roku i liczącej jedynie 36 stron, świat niezwykle przytulny, mikroskopijny, paradoksalnie poruszając tematy w skali makro – wypowiedzi bohaterów kryją bowiem przesłania niezwykle uniwersalne, m.in. nie trzeba być idealnym, żeby być szczęśliwym; w gronie przyjaciół zawsze można być sobą; wszyscy się różniemy i to

jest właśnie piękne.

Warto zauważyć, że autorka ze swobodą posługuje się kontrastem widocznym na kilku poziomach (wyglądu zewnętrznego bohaterów oraz ich cech osobowych), by wydobyć i wskazać prawdy ogólne. Wszystkie te cechy sprawiają, że opowieść ma wymiar niemalże paraboliczny, niczym przypowieść o pięciorgu przyjaciółach poszukujących prawdy o samych sobie. W Polsce książeczka została wydana nakładem Wydawnictwa Dwie Siostry i opatrzona pięknymi rysunkami samej autorki-illustratorki. Beatrice Alemagna zaprasza nas do świata wyobrazonego, ale jakże nam bliskiego, do świata przedstawionego, ale jakże zarazem rzeczywistego, dzieląc się jednocześnie z odbiorcami prawdziwymi problemami i niezwykle trafnymi spostrzeżeniami. To świat, gdzie zarówno dzieci, jak i dorośli, znajdują coś dla siebie.

Natalia Wiczorek

Perfettamente imperfetti

Recenzja książki *I cinque malfatti* di Beatrice Alemagna
(Edizioni TopiPittori, Milano 2014)

I cinque malfatti to krótki i kolorowy, który zachęca czytelnika do wielkiej podróży, atrakcyjny, pełen ciepła, fantastyczny – podróż, która pozwala poznać siebie, która, jak często zdarza się podczas wielkich wypraw, pozwala spojrzeć na nasze słabe punkty z dala i odkryć nasze słabe punkty siły.

Od początku towarzyszą nam w tej podróży pięciu przyjaciół. Są to postaci unikalne, które definiują się przez swoje wady. Pierwszy jest całkowicie czysty, drugi jest zawsze podzielony na dwa, trzeci jest całkowicie miękki, zawsze półśpiący, czwarty jest zawsze odwrócony i piąty jest odłamany od głowy do stóp, nie możemy przegrać. Ci przyjaciele spędzają dużo czasu razem, mieszkają w małym domu, mimo ich wad, są zgodni. Każdego dnia przychodzi im tajemniczy gość: jest idealny z każdej strony! Jego wizyta to

szczyt opowiadania: bohaterowie zmieniają radykalnie sposób, w jaki widzą siebie. To, co wcześniej było ich wadą, staje się ich największą zaletą – wszystko zależy od naszej percepcji niektórych cech, wszystko zależy od nas! To, co mówimy na temat siebie, wpływa na to, kim jesteśmy, i odwrotnie, to, kim jesteśmy, determinuje sposób, w jaki mówimy o sobie.

Autorka, włoska pisarka współczesna Beatrice Alemagna, stworzyła w tym krótkim, opublikowanym w 2015 roku i liczącym 36 stron, świecie niezwykle przyjaznym i mikroskopijnym, dotykając paradoksalnie argumentów na makroskali: lekcje dla postaci ukryte w jej opowiadaniu są uniwersalne, między innymi: nie musisz być idealny, aby być szczęśliwym; możesz być sobą z przyjaciółmi; jesteśmy wszyscy różni i jesteśmy piękni.

Warto zauważyć, że autorka użyła wyraźnego kontrastu, który jest widoczny na wielu poziomach (z punktu widzenia wyglądu fizycznego postaci i z punktu widzenia ich cech osobowości) w celu podkreślenia i wskazania ogólnych prawd. Wszystkie te cechy sprawiają, że historia ma charakter paraboliczny, jakby była parabolą o pięciu przyjaciołach, którzy szukają prawdy w sobie. W Polsce książka została opublikowana przez wydawnictwo Dwie Siostry i zawiera piękne ilustracje autorki, która jest również ilustratorką. Beatrice Alemagna zachęca czytelnika do świata wyimaginowanego, ale tak bliskiego nam, do świata fikcyjnego, ale w tym samym czasie z problemami prawdziwymi i obserwacjami niezwykle dokładnymi. Jest to świat, w którym zarówno dorośli, jak i dzieci znajdą coś dla siebie.

Weronika Marzec

Dystopia czy bliska przyszłość? – Sirene Laury Pugno

Dystopia to rodzaj utworu z gatunku literatury fantastycznonaukowej przedstawiający pesymistyczny opis przyszłości wynikający z krytycznej obserwacji społeczeństwa.

Laura Pugno w swojej powieści dystopijnej *Sirene* przenosi nas do świata wykreowanego w bliżej nieokreślonej przyszłości. Pierwsze wydanie powieści miało miejsce w roku 2007 nakładem wydawnictwa Einaudi, jednak prawdziwy rozgłos dała autorce jej wznowienie z 2017 r., wydane przez weneckie wydawnictwo Marsilio. Książka nie doczekała się jeszcze polskiego tłumaczenia.

Laura Pugno ukazuje w bardzo dosadny sposób świat oparty na katastrofach. Pojawiło się czarne słońce, przez które normalne funkcjonowanie stało się prawie niemożliwe. Ludzie zostali zmuszeni do życia w ciemnościach lub w podwodnych miastach. Skóra osób, które dotknęła promień słońca, łuszczy się, po czym całkowicie zanika, prowadząc tym samym do śmierci. Co więcej, choroba ta jest zakaźna, powoduje epidemię czarnego raka. Skóra jest powłoką, ochroną. Często zdobiona jest tatużami, pielęgnowana drogimi kosmetykami. Reguluje temperaturę i nawodnienie ciała. To skóra przyczynia się do odczuwania przyjemności z dotyku. Wszystko to zostaje odebrane

człowiekowi przez potworną chorobę powodowaną przez czarne słońce.

Jak wskazuje tytuł, w powieści występują mityczne stworzenia, których istnienia nikt nigdy nie potwierdził – syreny. Istoty te, jak dowiadujemy się z kart powieści, odporne są na działanie czarnego słońca. W różnych mitologiach opisywane są one w odmienny sposób.

W mitologii greckiej są podstępnyimi *femmes fatales* o ciele pół kobiety, pół ptaka. Zupełnie inaczej przedstawia je mitologia rzymska, gdzie są zazwyczaj nimfami morskimi z piękną twarzą kobietą i rybim ogonem. Mit o syrenach jest obecny w wielu dziełach literatury na przestrzeni lat. W literaturze włoskiej pół kobiety, pół ryby spotykamy na przykład w *Maruzza Musumeci* Andrei Camilleriego, *La Sirena* Giuseppe Tomasiego di Lampedusa czy w *La verità sul caso Motta* Marca Soldatiego. Jest wiele cech, którymi różnią się wizje mitycznych stworzeń, ale jedna rzecz pozostaje wspólna dla wszystkich tych autorów – syreny są wolne.

Laura Pugno zrywa całkowicie z tradycyjnym mitem o syrenach. Na początku powieści poznajemy Samuela, który wraz z Ken'nosuke pracuje jako nadzorca w hodowli syren. Pół kobiety, pół ryby pielęgnowane są w specjalnie przygotowanych zbiornikach z wodą morską. Podobnie jak zwierzęta, kończą swój żywot,

gdzie ich mięso uznawane jest za wystarczająco dobre do spożycia. Syrenie mięso opisywane jest smakiem *umami*. Słowo *umami* pochodzi z języka japońskiego i oznacza coś smacznego, wymienitego. Smak ten najczęściej określa się jako głęboki, mięsny, bulionowy. Zanim jednak syreny zostaną uznane za gotowe do uboju, są brutalnie wykorzystywane, najczęściej przez bogatych, „uprzywilejowanych” mężczyzn, nierzadko należących do japońskiej mafii *yakuza*. Z mitu o syrenie pozostaje jedynie fizyczny wygląd tego stworzenia.

Powieść Laury Pugno można także nazwać „ekologiczną”, jako że panująca epidemia również jest niechlubną zasługą człowieka. Widać bardzo wyraźny apel o konieczność szanowania miejsca, w którym żyjemy, każdej najmniejszej rzeczy oraz istoty, które nas otaczają.

Pisarka przedstawia świat jako horror, w którym wszystko stało się zwykłym towarem. Syreny, mimo że w połowie są stworzeniami ludzkimi, są wykorzystywane, zabijane, sprzedawane, a później zapomniane. Powieść *Sirene* można nazwać okrutną, brutalną. Jest wiele dokładnych opisów, których nie chcemy czytać, ale autorka nie daje nam wyboru. Na niewiele ponad 130 stronach udaje jej się w bardzo dosadny sposób zwrócić uwagę na problemy przedstawionego świata. Niepokojące jest

jednak, jak wiele wspólnego mają dystopijny świat Laury Pugno i rzeczywistość, w której żyjemy obecnie. Każde opisywane zdarzenie przywołało mi na myśl analogiczne wydarzenia dnia codziennego otaczającego nas świata. Brak szacunku do drugiego człowieka, wykorzystywanie słabszych, przemoc fizyczna i psychiczna ze strony „uprzywilejowanych grup”, które narzucają swoje prawdy, epidemia, rak skóry spowodowany silnymi promieniami słońca, ugrupowania mafijne. Wszystkie te problemy brzmią niestety bardzo znajomo.

Gdyby każdy człowiek i każde stworzenie byli akceptowani takimi, jakimi są oraz traktowani z należytym szacunkiem, świat byłby miejscem przystosowanym do życia. Tymczasem, w powieści Laury Pugno syreny stają się niewolnikami grupy osób, która swoje cele osiąga przemocą. Ich wolność jest ograniczona do minimum. Akcja powieści rozgrywa się w bliżej nieokreślonej przyszłości, ale przeraża to, jak blisko tej przyszłości czuje się czytelnik.

Mimo że książka ta nie jest przyjemną lekturą, polecam ją każdemu i bardzo żałuję, że nie została jeszcze przetłumaczona na język polski, ponieważ uświadamia wiele uniwersalnych prawd, które znajdują odzwierciedlenie w każdej rzeczywistości. Zakończenie powieści skłania do refleksji i może być interpretowane na wiele sposobów, z czego żaden nie jest niepoprawny. Im więcej wniosków wyciągnie czytelnik, tym lepiej dla przyszłości świata, w którym żyjemy wszyscy razem.



Genova
(aut. Giulio Burroni)

Weronika Marzec

Distopia o futuro prossimo? – Sirene di Laura Pugno

La distopia è un sottogenere del genere fantascientifico che rappresenta una visione pessimista del futuro derivante dall'osservazione critica della società.

Laura Pugno, nel suo romanzo distopico *Sirene*, ci trasferisce in un mondo creato in un futuro indefinito. La prima pubblicazione del romanzo ha avuto luogo nel 2007 dalla casa editrice Einaudi, però la vera e propria fama è stata data all'autrice grazie alla seconda pubblicazione nel 2017, a Venezia, dalla casa editrice Marsilio. Il libro non ha ancora una traduzione in polacco.

Laura Pugno mostra in modo molto esplicito il mondo basato sui disastri. È apparso il sole nero, a causa del quale la vita normale è diventata quasi impossibile. La gente è costretta a vivere al buio o in città subacquee. La pelle delle persone cui raggiungono i raggi del sole si squama e poi sparisce completamente portando inevitabilmente alla morte. Inoltre, la malattia è contagiosa e causa l'epidemia del cancro nero. La pelle è un involucro, una protezione. Spesso viene decorata con dei tatuaggi, curata con i cosmetici costosi. Regola la temperatura e l'idratazione del corpo. È proprio la pelle a permettere di provare il piacere delle carezze. Tutto questo viene tolto dall'uomo dalla malattia tremenda causata dal sole nero.

Come indica il titolo, nel romanzo appaiono le creature mitiche, la cui esistenza non è stata mai confermata da nessuno – le sirene. Come sappiamo dal romanzo, sono resistenti ai raggi del sole nero. In diverse mitologie vengono descritte in vari modi.

Nella mitologia greca sono delle *femmes fatales* insidiose, dal corpo metà femminile, metà uccello. La mitologia romana, invece, le presenta come delle ninfe di mare con un bel viso femminile e la coda da pesce. Il mito delle sirene è presente in tante opere letterarie nel corso della storia. Nella letteratura italiana le metà donne, metà pesci le possiamo trovare, per esempio, in *Maruzza Musumeci* di Andrea Camilleri, *La Sirena* di Giuseppe Tomasi di Lampedusa o ne *La verità sul caso Motta* di Marco Soldati. Ci sono varie caratteristiche che differenziano le visioni delle creature mitiche l'una dall'altra, ma una cosa rimane in comune per tutti questi autori: le sirene sono libere.

Laura Pugno rompe completamente con il mito tradizionale delle sirene. All'inizio del romanzo conosciamo Samuel che, insieme a Ken'nosuke, lavora come sorvegliante dell'allevamento delle sirene. Le metà donne, metà pesci vengono curate nelle vasche speciali riempite con acqua marina. Come accade nel caso degli animali, finiscono la loro vita quando la loro carne viene valutata pronta per il consumo. La

carne della sirena è descritta con il sapore *umami*. La parola *umami* proviene dalla lingua giapponese e significa qualcosa di saporito, squisito. Questo sapore viene di solito definito come profondo, dal gusto di carne e brodo. Ma prima che le sirene vengano considerate pronte alla macellazione, sono brutalmente abusate dagli uomini ricchi e "privilegiati", non di rado appartenenti alla mafia giapponese *yakuza*. Del mito delle sirene rimane solo l'aspetto fisico di queste creature.

Il romanzo di Laura Pugno può essere chiamato anche "ecologico", perché l'epidemia presente al mondo è un merito inglorioso dell'uomo. Si nota un richiamo visibile alla necessità di rispettare il luogo in cui viviamo e tutte le piccole cose e creature che ci circondano.

La scrittrice mostra il mondo come l'orrore in cui tutto è diventato semplice merce. Le sirene, pur essendo metà umane, vengono sfruttate, uccise, vendute e poi dimenticate. Il romanzo *Sirene* può essere considerato feroce e brutale. Sono molte le descrizioni che non vogliamo leggere, ma l'autrice non ci concede la possibilità di scelta. Su poco più di 130 pagine riesce a richiamare l'attenzione in modo chiaro e tondo sui problemi del mondo rappresentato. È inquietante, però, quante somiglianze ci siano tra il mondo distopico di Laura Pugno e la realtà in cui viviamo attualmente. Ogni scena descritta fa pensare agli avvenimenti analoghi della vita quotidiana del mondo che ci circonda: mancanza di rispetto nei confronti di altre persone, sfruttamento di quelli più deboli, violenza fisica e psicologica da parte dei "gruppi privilegiati" che impongono la propria volontà, epidemia, tumore della pelle causato dai raggi forti del sole, gruppi mafiosi. Tutto questo suona purtroppo molto familiare.

Se ogni uomo e ogni creatura fossero stati accettati così come sono, e trattati con il dovuto rispetto, il mondo sarebbe stato un posto adatto alla vita. Invece, nel romanzo di Laura Pugno le sirene diventano gli schiavi di un gruppo di persone che raggiungono i propri obiettivi attraverso la violenza. La loro libertà è limitata al minimo. La trama del romanzo si svolge in un futuro indefinito, ma spaventa quanto vicino a questo futuro si senta il lettore.

Benché il libro non sia una lettura piacevole, lo raccomando a tutti e rimpiango molto che non abbia ancora una sua traduzione al polacco, perché sensibilizza su tante verità universali che sono rispecchiate in tutte le realtà. La fine di questo romanzo fa riflettere e può essere interpretata in vari modi, di cui nessuno è sbagliato. Più conclusioni trarrà il lettore, meglio sarà per il futuro del mondo in cui viviamo tutti insieme.

Joanna Frask

Chłopiec, który znalazł słońce nocą i dlaczego (nie) warto o nim czytać

Drodzy Państwo, Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk ma zaszczyt odradzić Państwu czytanie wszystkich pozytywnych recenzji na temat wydanej w 2015 roku powieści Luki di Fulvia. *Chłopiec, który znalazł słońce nocą* opublikowany przez wydawnictwo Rizzoli jest powieścią, która ma potencjał zaprzepaścić waszą niewypowiedzianą chęć nieustannego rozwijania własnych horyzontów, albowiem wszystko, co zostało opisane przez autora, już kiedyś było. Dawno, dawno temu, w odległej galaktyce, Lord Vader przyznał się Lukowi Skywalkerowi do ojcostwa. W Dolinie Godryka Harry Potter stracił w okrutnej zbrodni rodziców, zaś ksiądz Robak się wypowiadał, mało tego, Renzo Tramaglino i Lucia Mondella już dawno się pobrali, a czarodziej Merlin dokonał cudu, tworząc z dziecka mężczyznę, który udźwignął ciężar Excalibura. *Gra o tron* już dawno się rozpoczęła (bo prawdziwego zakończenia chyba nigdy się nie doczekamy), zaś Robin Hood okradł bogatych i dał ubogim. Powtórzenie tych wszystkich rzeczy w jednej powieści, rozdartej stylistycznie między romantyzm Waltera Scotta, opiewającego epickie dzieje bohaterów *Ivanhoe* oraz wydumany fantazjami rozpieszczonego syna pierwszego premiera Wielkiej Brytanii, z których wynurzyło się owiane krwawą mgiełką *Zamczysko w Otranto*, jest zbrodnią na waszych wysublimowanych gustach literackich, przed którą autorka niniejszej recenzji bezwzględnie raczy Was uchronić. Proszę zatem wszystkich o zamienienie się w słuch.

Zacznijmy więc od pierwszej kwestii, o której nie sposób nie wspomnieć. Co mnie, osobę poszukującą dla Was dzieła bogatego w nawiązania do kultury włoskiej, może obchodzić to, że Jan Hus przekonuje głównego bohatera do nadrzędnych wartości prawdy, wolności i godności drugiego człowieka? Nie żebym nie poczuła dreszczu emocji, kiedy na dzień przed egzekucją powiedział do niego: – „Szukaj prawdy. [...] Słuchaj prawdy, spróbuj zrozumieć prawdę, kochaj prawdę, mów prawdę, dotrzymuj słowa, broń prawdy, aż do śmierci. To prawda da ci wolność”¹.

Nie żebym zupełnie nie doceniła, że jako czytelnik jestem świadkiem końca epoki średniowiecza i otwarcia się tej pogrążonej w ciemności nocy kultury na światło wartości renesansowych, niesionych udręczonemu sys-

temem feudalnym społeczeństwu przez głównego bohatera, aczkolwiek sami przyznacie Państwo, że książka włoskiego autora powinna pozostawić więcej informacji o Włoszech niż tylko wzmiankę o tym, iż w czasach wielkiej schizmy zachodniej większość mieszkańców Italii opowiedziała się za pontyfikatem papieża Grzegorza XII czy też, że jeden z podstawowych bohaterów powieści pochodził ze znamienitego włoskiego rodu Bentivoglio, a akcja książki rozgrywa się w XV wieku, w okolicach wschodnich Alp.

Kolejna zbrodnia na czytelniku to przecież sam tytuł. *Chłopiec, który znalazł słońce nocą*. Brzmi jak szczyt poezji i romantyzmu. Bardzo pięknie! Tylko jak to wszystko się ma do głównego bohatera? Że niby jego złoty kosmyk włosów przechowywała Heloiza i stąd wzmianka o słońcu? Że niby to on był tym słońcem, bo przyłączył się do Voloda Czarnego, który zabierał bogatym i dawał biednym, (bo biednym zabrać już nie było czego), że podjudzony przez Voloda i Husa główny bohater, sam postanowił w końcu wywołać powstanie i uświadomić chłopom, że podobnie jak panowie feudalni, oni także mają prawo do zjedzenia jabłkowego ciasta i zajęczego pasztetu zamiast codziennej porcji zupy korzenno-cebulowej? I jeszcze ta wrzuszająca rozmowa z akuszerką Agnete:

„Wskazała na księżyc.

– Wygląda jak blade słońce, prawda?

– Moja piastunka mawiała, że słońce jest...

jest złote, a księżyc srebrny... – powiedział Mikael – i że... że...

– I że słońce to śmiech, a księżyc płacz – dokończyła Agnete”.

Brawo, Luca di Fulvio to wszak Mickiewicz i Manzoni w jednej osobie! Ciekawe, czym jeszcze zaskoczy czytelnika.

Kolejny karygodny krok to łączenie bogatego w opisy krwawych rzezi i brutalnych gwałtów, śmiertelnie wciągającego stylu wprawionego autora kryminałów (najsłynniejszy *L'impagliatore* zekranizowany został jako *Occhi di Cristallo* przez Erosa Puglielliego) z lekkim piórem cenionego twórcy literatury dziecięcej (nominacja do Premio Bancarellino za powieść *I misteri dell'Altro Mare*). Eklektyzm literacki na miarę epoki. Godna podziwu zdolność pogodzenia w swojej twórczości tak różnorodnych gatunków literackich!

Zastanówmy się jednak, proszę Państwa, co by było, gdyby któryś z dziecięcych czytelników autora zidentyfikował, któregoś popołudnia, kto kryje się za pseudonimem *J. Duke Blanco*, i sięgnął także po recenzowaną przeze mnie książkę? Ten kilkulatek, względnie kilku-

nastolatek, dowiedziałby się, że dawno, dawno temu, w dalekiej krainie wraz z ukochaną nianią, małą siostrzyczką i rodzicami, żył sobie niespełna dziesięcioletni, złotowłosy książe. W tym momencie młody czytelnik zacząłby się stopniowo utożsamiać z postacią głównego bohatera, będącego zapewne w podobnym wieku, następnie dowiedziałby się, iż chłopcu temu niczego nie brakowało. Chodził w aksamitnych i bawełnianych ubrankach. Zjadał tony słodczy i droczył się z ojcem, księciem Marcusem I z Saxii, który był panem całej tu-tejszej krainy i niezrównanym wojownikiem. W tym momencie małoletni czytelnik, znużony tym idyllicznym wstępem, zacząłby oczekiwać od autora jakiejś przygody. Być może spodziewałby się dobrej wróżki, która ofiaruje księciu złoty pierścień i każe wyruszyć na wyprawę do zaczarowanego lasu, bądź pięknej królowej z czerwoną różą w dłoni? Tymczasem nasz czytelnik dowiedziałby się, iż pewnego słonecznego poranka w zamku rozbrzmiał tętent kopyt. Była to banda żołnierzy, nasłana przez władcę ościennego państwa, który postanowił brutalnie wymordować, tudzież zgwałcić całą rodzinę bohatera, aby odreagować na innych reprezentantach rasy ludzkiej frustrację spowodowaną brakiem rodzicielskiej miłości oraz, gwoli ścisłości, zagarnąć państwo prawowitego księcia Saxii dla siebie, wymuszając podstępnie na Świętym Cesarstwie Rzymskim zgodę na powiększenie swoich ziem.

Mord zostaje dokonany w obecności złotowłosego księcia, który wybałusza swoje piękne zielone oczy na widok toczącej się głowy ojca i nagiego, przebitego sztylblem ciała matki. W tym momencie drodzy Państwo, małoletni czytelnik naszego autora miałby już problem, aby powrócić do równowagi psychicznej, z czym ma zresztą problem również i główny bohater powieści, i nawet terapia w postaci codziennej rozmowy z myszą – Hubertusem, nie jest w stanie przywrócić mu zdrowia. Możemy się w tym momencie zastanowić, jaki przykład daje nowym pokoleniom autor. Kto to widział takie rozmowy z myszą? Nawet autorka niniejszej recenzji rozmawia tylko ze swoim kotem, i to nie codziennie.

Wybaczcie, drodzy Państwo, mówmy o rzeczach poważnych, na przykład o edukacji. Nasz bohater cudem zostaje ocalony z płomieni, które pochłaniają ciała członków jego rodziny. Opiekę nad nim roztacza akuszerka Agnete. Kobieta, zdjęta litością, postanawia oduczyć chłopca królewskich nawyków i przyzwyczaić go do surowego, pełnego bólu życia, w pewnym momencie jednak, kończą jej się

¹ Wszystkie cytaty pochodzą z:

Luca di Fulvio, *Chłopiec który znalazł słońce nocą*, Esteri, Wrocław 2016.

pomysły na to jak, z bojącego się wszystkiego rozpieszczonego książątka, uczynić rolnika i wojownika, więc oddaje go pod pieczę – Raphaela, człowieka bardzo starego i bardzo mądrego (jak się czytelnik dowie później mądrego po czasie, ale nie wyprzedzajmy faktów). Nauki Raphaela składają się z dość prostego i łatwego do zastosowania w warunkach domowych kursu: obsługi niewidzialnej motyki, niewidzialnego szpadla oraz czytania co wieczór tej samej książki, w języku łacińskim, którego, jak warto zaznaczyć, nie zna ani uczeń, ani nauczyciel. Przekonajcie się zresztą o tym sami:

„Mikael otworzył książkę na pierwszej stronie. Zobaczył niezrozumiałe słowa.

– Nie znam tego języka.

– Ja też – odparł Raphael – To łacina.

Mikael spojrział na niego, nie rozumiejąc.

– Gdybym wiedział, co tu jest napisane, chłopcze, nie potrzebowałbym tej książki, kiedy ją przeczytam – powiedział Raphael. – A ponieważ nie rozumiem, co w niej jest, mogę ją czytać przez całe życie i za każdym razem

wyobrażać sobie, że opowiada inną historię. [...] Jest w tobie wiele historii – powiedział stary [...]]. Więcej niż możesz sobie wyobrazić. Ale tak jak ci mówiłem, musisz najpierw zerwać pęta strachu”.

Jaki jest sens czytać niezrozumiałą książkę i pracować niewidzialną motyką? Mniej więcej taki, jak przeczytać historię *Chłopca, który znalazł słońce nocą*. Grozi to całkowitą i nieodwracalną zmianą światopoglądu. Być może, po lekturze tej książki, obudziliby się nagle Państwo przeświadczeni, że autor, którego powieści rozchodzą się w nakładzie 1,5 miliona egzemplarzy rocznie i zostają przetłumaczone na ponad 10 języków, który współpracował nawet z Andrzejem Wajdą oraz z Julianem Beckiem (twórcą słynnego *Living Theatre*), zdrwił z Was i sprawił, że wstawszy z łóżka, bezwiednie powtarzacie co dzień prawdy starego mędrca, które mieszają się w waszych ustach z powiedzeniami samego Luki di Fulvia: marzenia są tym, co dzieli ludzi; brud i czystość zależą od tego, co się ma w środku; zerwij pęta strachu; jesteśmy tym kim, jesteśmy w tej chwili, właśnie wtedy; buntownicy to ludzie, którzy szu-

kają słońca nocą; cebula starcza na krótko, na przykład na całe życie... i wiele innych.

Ogromnym zagrożeniem jest również to, iż książka ta, posiadająca narkotyczną właściwość, może Państwa zachęcić do sięgnięcia po inne powieści tego autora, opisujące zjawisko poszukiwania wolności i własnej drogi życiowej przez młodych ludzi. Wystarczy przytoczyć tu chociażby słynną ostatnio *Córkę wolności* (*La figlia della libertà*), opisującą historię ucieczki do Argentyny dwóch młodych dziewcząt, które nie chciały być kurami domowymi i jednego młodzieńca, który nie chciał być mafiosem. Lektura ta sprawi, że, podobnie jak Luca di Fulvio, zaczniecie szukać swojej własnej, nie dającej się obecnie odczytać historii w nieznanym rewirach i staniecie się tym sposobem jednostkami jeszcze bardziej kreatywnymi i nieprzydatnymi odwiecznym autorytetom, a do tego przecież nie można dopuścić! Mam więc nadzieję, iż niniejszą recenzją przyczyniam się do tego, iż po ustaniu światowej pandemii codziennie spotkam kogoś z Państwa w księgarni lub w bibliotece z książką Luki di Fulvia – *Chłopiec, który znalazł słońce nocą*.

Joanna Frask

Il bambino che trovò il sole di notte e perché (non) vale la pena leggerlo

Signore e Signori, l'Ufficio centrale del controllo di stampa, pubblicazioni e spettacoli è orgoglioso di annunciare il divieto di leggere tutte le recensioni positive del romanzo di Luca di Fulvio, pubblicato nel 2015. *Il bambino che trovò il sole di notte* che ha visto la luce del giorno grazie a Rizzoli, è un romanzo che ha il potenziale di farvi perdere la vostra inesprimibile voglia di ampliare costantemente i vostri orizzonti, perché tutto ciò che è stato descritto dall'autore era già successo nel passato. Tanto tempo fa in una galassia lontana lontana, Lord Vader aveva confessato a Luke Skywalker di essere suo padre. Negli oscuri vicoli della Godric's Valley Harry Potter aveva perso i genitori a causa di un crimine crudele, mentre il padre Robak aveva confessato i suoi peccati, inoltre Renzo Tramaglino e Lucia Mondella si erano sposati da tempo, e il mago Merlino aveva compiuto un miracolo creando da un bambino un uomo che portava il peso di Excalibur. *Il Trono di Spade* era già iniziato (perché il vero finale penso che non lo vedremo mai), mentre Robin Hood aveva derubato i ricchi e aveva dato tutto ai poveri. La ripetizione di tutte queste cose in un romanzo, stilisticamente diviso tra il romanticismo di Walter Scott che celebra le epiche storie dei protagonisti di *Ivanhoe*, e tra le fantasie immaginarie del viziato figlio del primo premier

britannico, da cui è emersa la foschia sanguinolenta di *Castello di Otranto*, è un delitto sui vostri sublimi gusti letterari, da cui l'autrice di questa recensione si degna assolutamente di salvarvi. Pertanto, chiedo a tutti di ascoltare.

Iniziamo con la prima questione che non può essere ignorata. Cosa può interessare a me, una persona alla ricerca di un'opera ricca di riferimenti alla cultura italiana, del fatto che Jan Hus convince il protagonista del valore sovrastante della verità, della libertà e della dignità dell'essere umano? Non è che non avrei provato un brivido, quando gli disse il giorno prima della sua esecuzione: – “Cerca la verità. [...] Ascolta la verità, cerca di capire la verità, ama la verità, di' la verità, mantieni la tua parola, difendi la verità fino alla morte. Questa verità ti darà la libertà”¹.

Non è che non avrei considerato, nonostante tutto, il fatto che come lettrice io sono testimone della fine del Medioevo e dell'apertura di questa cultura oscurata dalla luce dei valori rinascimentali, portati dal protagonista nella tormentata società del sistema feudale, tuttavia ammetterete che il libro dell'autore italiano dovrebbe lasciare più informazioni sull'Italia di una semplice menzione del fatto che, durante

il periodo del Grande Scisma d'Occidente, la maggior parte degli abitanti d'Italia optava per il pontificato di Papa Gregorio XII, o che uno dei vecchi eroi del romanzo provenisse dall'illustre famiglia italiana dei Bentivoglio e che l'azione si svolge nel XV secolo, nelle vicinanze delle Alpi orientali.

Un altro crimine sul lettore è il titolo stesso: *Il bambino che trovò il sole di notte*. Sembra l'incarnazione della poesia e del romanticismo. Molto bello! Ma cosa c'entra tutto questo col personaggio principale? Sarebbe Eloiza, che teneva la ciocca di capelli d'oro di lui, la ragione della menzione del sole? O forse sarebbe proprio lui il sole stesso, perché si è unito a Volod il Nero che rubava ai ricchi e dava ai poveri (perché non c'era più nulla da prendere ai poveri)? O forse il protagonista sarebbe come il sole, quando istigato da Volod e Hus ha finalmente deciso di iniziare la ribellione e faceva capire ai contadini che loro, come i signori feudali, hanno lo stesso diritto di mangiare torta di mele e paté di lepre, invece di una porzione quotidiana di zuppa di cipolle e radici? E poi, questa toccante conversazione con l'ostetrica Agnete:

“Ha indicato la luna.

– Sembra sole pallido, non è vero?

– La mia balia diceva che il sole è... è d'oro e la luna è d'argento... – disse Mikael – e che...

– E che il sole ride e la luna piange – conc-

1 Tutte le citazioni provengono da:

Luca di Fulvio, *Chłopiec który znalazł słońce nocą*, Esteri, Wrocław 2016.

luse Agnete?”

Bravo Luca di Fulvio! Sei Mickiewicz e Manzoni in una persona! Mi chiedo con co-s'altro ci sorprenderà l'autore.

L'altra decisione vergognosa è combinare le descrizioni di stragi sanguinose e stupri brutali, quindi lo stile mortalmente coinvolgente di uno scrittore esperto di gialli (il più famoso dei quali è *L'impagliatore*, adattato sullo schermo come *Occhi di Cristallo* da Eros Puglielli), con la penna leggera di un rispettato autore di letteratura per bambini (nominato al Premio Bancarellino per il romanzo *I Misteri dell'Altro Mare*). Eclettismo letterario per l'epoca! Ammirabile capacità di confondere i generi letterari così diversi nel suo lavoro artistico!

Tuttavia, Signore e Signori, consideriamo cosa accadrebbe se un pomeriggio uno dei lettori minorenni dell'autore individuasse chi si nasconde dietro lo pseudonimo di *J. Duke Blanco*, raggiungendo così anche al libro che sto recensendo? Questo bambino, o adolescente, scoprirebbe che c'era una volta, in una terra lontana, un principe dai capelli d'oro nell'età di quasi dieci anni che viveva insieme alla sua amata famiglia: balia, sorellina e genitori. A questo punto, il giovane lettore si identificerebbe gradualmente con il protagonista, probabilmente di età simile, poi scoprirebbe che al ragazzo non mancava nulla. Indossava abiti di velluto e cotone. Mangiava tonnellate di dolci e prendeva in giro suo padre, il principe Marcus I di Saxia, che era il signore potente dell'intero paese e il guerriero senza pari. A questo punto, il nostro lettore stanco di questa introduzione idilliaca, inizierebbe ad aspettarsi un'avventura dall'autore. Forse si aspetterebbe una buona fata che donasse al principe un anello d'oro e lo facesse partire per un viaggio in una foresta incantata, o una bella principessa con una rosa rossa in mano? Nel frattempo, il nostro lettore apprenderebbe che una mattina soleggiata, il protagonista ha sentito il rumore di zoccoli. È stato un gruppo di soldati, inviato dal sovrano di un paese vicino che decise di assassinare o violentare brutalmente l'intera famiglia del protagonista, per sfogare la frustrazione causata dalla mancanza di amore dei genitori sugli altri rappresentanti del genere umano e, per essere precisi, per impadronirsi dello stato del legittimo principe di Saxia per sé, con l'aiuto del Sacro Romano Impero che imbrogliava, pianificando l'espansione dei confini territoriali.

L'omicidio viene eseguito alla presenza del principe dai capelli d'oro, che sgrana i suoi bellissimi occhi verdi alla vista della testa rotolante di suo padre e del corpo nudo di sua madre, trafitto da un pugnale. A questo punto, Cari Signori, il nostro lettore minore avrebbe il problema con il ritorno all'equilibrio mentale, con il quale ha problemi anche il protagonista del romanzo. Nessuno e niente lo aiutava, neanche la terapia sotto forma di conversazione quotidiana con il topo di nome Hubertus. A questo punto, possiamo riflettere sull'esempio che l'au-

tores dà alle nuove generazioni. Chi ha visto tali conversazioni con un topo? Anche l'autrice di questa recensione parla solo con il suo gatto, e non tutti i giorni.

Perdonatemi, cari Lettori, parliamo di cose serie, ad esempio dell'istruzione. Il nostro protagonista viene miracolosamente salvato dalle fiamme che avvolgono i corpi dei suoi familiari. Agnete, l'ostetrica, si prende cura di lui. La donna, mossa a pietà, decide di far disimparare al ragazzo le usanze reali e di abituarlo a una vita dura e dolorosa, ad un certo punto però, esaurisce le idee su come fare del principino viziato un contadino e un guerriero, così lo affida a un uomo vecchio e saggio di nome Raphael (come il lettore scoprirà in seguito, lui usa il senno di poi, ma non anticipiamo i fatti). Le lezioni di Raphael consistono in un corso abbastanza semplice e facile da applicare a casa: l'uso di una zappa invisibile, una vanga invisibile e la lettura dello stesso libro scritto in latino ogni sera. Vale la pena notare che sia il maestro, sia l'allievo non conoscono questa lingua affatto. Comunque, scoprite da soli:

“Mikael ha aperto il libro alla prima pagina. Ha visto parole incomprensibili.

– Non conosco questa lingua.

– Neanch'io – rispose Raphael – è latino.

Mikael lo guardò senza capire.

– Se sapessi cosa dice, ragazzo, non avrei bisogno di questo libro dopo la lettura – disse Raphael. – E poiché non capisco cosa c'è dentro, posso leggerlo per tutta la vita e immaginarlo raccontare ogni volta una storia diversa

[...] Ci sono molte storie in te – disse il vecchio [...] – Più di quanto tu possa immaginare. Ma come ti ho detto, devi prima spezzare le catene della paura”.

Che senso ha leggere il libro incomprensibile e lavorare con la zappa invisibile? Più o meno lo stesso che ha leggere la storia del bambino che trovò il sole di notte. Questo minaccia di cambiare completamente e irreversibilmente la vostra visione del mondo. Forse dopo aver letto questo libro, vi sveglierete all'improvviso, convinti che l'autore i cui libri hanno una tiratura di 1,5 milioni di copie all'anno e sono tradotti in più di 10 lingue, lo scrittore che ha collaborato persino con Andrzej Wajda e Julian Beck (il creatore del famoso *Living Theatre*), vi

ha deriso, e adesso vi sta continuamente facendo alzare dal letto, ripetendo inconsciamente ogni giorno le verità del vecchio saggio, che si mescolano in bocca ai detti dello stesso Luca di Fulvio: i desideri sono qualcosa che divide le persone; sporcizia e pulizia dipendono da ciò che è dentro l'uomo; spezza le catene della paura; siamo ciò che siamo adesso, proprio adesso; i ribelli sono le persone che cercano il sole di notte; una cipolla basta per un breve periodo, ad esempio per tutta la vita... e molti altri.

Esiste anche una grande minaccia, cioè che questo libro, che possiede una proprietà narcotica, possa incoraggiarvi a leggere altri romanzi di questo autore che descrivono il fenomeno dei giovani in cerca della libertà e del proprio stile di vita. Basta citare qui, ad esempio, il famosissimo *La figlia della libertà* che descrive la storia della fuga in Argentina di due ragazze che non volevano essere casalinghe e un giovane che non voleva essere mafioso. Questa lettura vi cambia e c'è un rischio che, come Luca di Fulvio, inizierete a cercare la vostra storia illeggibile in territori sconosciuti, e così diventerete individui ancora più creativi e non utili alle autorità eterne. Questo non può essere consentito! Insomma, spero che con la recensione io stia contribuendo al fatto che dopo la fine della pandemia globale, ogni giorno incontrerò qualcuno di voi in libreria o in biblioteca con il libro di Luca di Fulvio – *Il bambino che trovò il sole di notte*.



Chiesa di Provenzano, Siena (aut. Irene Fioravanti)

Sara Pucciani

Etruskowie z Volterry

Włochy to malowniczy kraj o długiej historii oraz ciekawej tradycji. Jest to również kolebka kultury i sztuki, która zachwyca swoim pięknem od wieków. Z całą pewnością jest to też miejsce kojarzone z Etruskami – niezwykłym ludem, który dawniej zamieszkiwał obszar między rzeką Arno a Tybrem. Ich kultura stała na wysokim poziomie – zajmowali się medycyną, astronomią, ale również sztuką. Ogromną uwagę przywiązywali także do kultu zmarłych. Podobnie jak Egipcjanie bardzo starali się, by groby ich bliskich były bogato zdobione i dobrze wyposażone. Etruskowie chcieli w ten sposób zapewnić jak największy „komfort” zmarłemu i dlatego bardzo często ich grobowce przypominały wnętrza domu. Wykonywane na ścianach freski przedstawiały sceny rodzajowe (tańczących i śpiewających ludzi), mity greckie, faunę oraz florę. Warto zauważyć, że do tworzenia niezwykłych dekoracji wykorzystywali również ciekawe, intensywne barwy takie jak np. zieleń i czerwień. Malarstwo etruskie jest najlepiej zachowaną dziedziną sztuki tego ludu, ale nie jest jednak jedynym jego osiągnięciem. Poza słynnymi freskami i grobowcami możemy wymienić również rzeźbę (charakterystyczne sarkofagi), architekturę, czy niezwykłą etruską biżuterię.

Obecnie sztukę Etrusków możemy podziwiać przede wszystkim na terenie Toskanii. Bardzo często wybierając się w te okolice, jako cel

podróży wybieramy Pizę, miasto słynące z Krzywej Wieży. Nie wszyscy jednak wiedzą, iż zaledwie 70 km dalej znajduje się Volterra (dawniej Velathri). Usytuowane na wzgórzu miasto otoczone jest zapierającymi dech w piersiach widokami. Położone między dolinami, ukryte za murami, poprzecinanym licznymi uliczkami i owiane tajemnicą. Aktualnie dla turystów Volterra ma do zaoferowania wiele atrakcji. Zwiedzanie możemy rozpocząć od wizyty w baptysterium, następnie kierując się w stronę katedry, Palazzo dei Priori, czy starożytnego teatru rzymskiego. Na zwiedzających w Pinacoteca e Museo Civico czeka również prawdziwa perła włoskiego renesansu, czyli obraz pt. *Cristo in gloria tra Santi e il committente*, *Abate Giusto Bonvicini* autorstwa Domenica Ghirlandaia. Jeżeli ktoś jednak woli cofnąć się jeszcze bardziej w przeszłość, to Volterra z całą pewnością się do tego nadaje. Mogłoby się wydawać, iż w tym toskańskim miasteczku zatrzymał się czas. Spacerując uliczkami, możemy poczuć się jak w średniowieczu.

Warto zauważyć, iż Etruria nigdy nie była jednolitym państwem. Każde miasto stanowiło osobną jednostkę. Być może to właśnie dlatego legendarna Velathri jest tak niezwykła i niepowtarzalna. Odwiedzając to magiczne miasto, warto wstąpić do Museo etrusco Guarnacci, które posiada niemałe zbiory sztuki etruskiej. W muzeum odnajdziemy ponad pół tysiąca

alabastrowych urn, spośród których najbardziej znana to *Urna degli Sposi*. Wśród licznych sarkofagów natrafimy również na małe figurki zwierząt, wazy, płaskorzeźby oraz na *Ombra della sera*, czyli wyjątkową figurę wotywną. Dzieło zostało wykonane z brązu i mierzy niecałe 60 cm. Rzeźba ma charakterystyczną, wydłużoną sylwetkę i swym kształtem przypomina cień. Zwiedzając kolejne piętra, na pewno warto wstąpić do sali z biżuterią, w której znajdziemy np. stare lustra z brązu, broszki, kolczyki. W jednej z gablotek zobaczymy również kolekcję niezwykłych pierścionków ze złota i kamieni szlachetnych, które zaskoczą nas również swoją formą. Część z nich będzie posiadać owalny kamień pośrodku, a inne będą w kształcie węży. Pierścionki zaskoczą nas również kolorami przechodzącymi od czerwieni i żółci nawet po biel czy błękit. Zwiedzając muzeum, znajdziemy także fragmenty starożytnej posadzki i rozmaite wyroby z brązu.

Następnie, po wyjściu z muzeum możemy udać się w stronę Porta all'Arco – ogromnej bramy etruskiej pochodzącej z IV–III w. p.n.e. Wycieczkę warto zakończyć na odwiedzeniu kilku miejscowych sklepików. To właśnie w nich sprzedawany jest alabaster. Już w dawnych czasach Volterra była ważnym ośrodkiem pozyskiwania tego surowca. Aktualnie tworzone są z niego figurki, talerze, wazon, szachy i wiele innych niezwykłych przedmiotów.



Ombra della sera (aut. Sara Pucciani)



Urna degli sposi (aut. Sara Pucciani)

Sara Pucciani

Gli Etruschi di Volterra



Volterra (aut. Sara Pucciani)



Strade di Volterra (aut. Sara Pucciani)

L'Italia è un paese pittoresco con una lunga storia e una tradizione interessante. È anche la culla della cultura e dell'arte che ci delizia con la sua bellezza da secoli. Certamente è anche un luogo associato agli Etruschi, un popolo insolito che abitava nella zona tra il fiume Arno e il Tevere. Inoltre, la loro cultura era di alto livello: si occupavano di medicina, astronomia, ma anche arte. Prestavano grande attenzione anche al culto dei morti. Come gli egiziani, cercavano di decorare le tombe dei loro cari. Gli Etruschi volevano fornire il massimo "conforto" possibile al defunto, e quindi molto spesso le loro tombe assomigliavano agli interni della casa. Affreschi eseguiti sulle pareti raffiguravano scene di genere (persone che cantano e ballano), miti greci, fauna e flora. Vale la pena menzionare che per creare le decorazioni usavano colori molto intensi come il verde e il rosso. La pittura etrusca è la meglio conservata arte di questo popolo; tuttavia, non è il suo unico raggiungimento. Oltre a famosi affreschi e tombe, possiamo anche menzionare la scultura (sarcofagi caratteristici), l'architettura o gioielli etruschi.

Al giorno d'oggi, l'arte degli Etruschi può essere ammirata principalmente in Toscana. Molto spesso andando in queste zone, scegliamo Pisa come nostra principale meta, una città famosa per la sua Torre Pendente. Tuttavia, non tutti sanno che Volterra (prima Velathri) si trova a soli 70 km di distanza. Situata su una collina, la città è circondata da panorami mozzafiato. Collocata tra le valli, nascosta dietro le mura, intersecata da numerose strade e avvolta nel mistero. Attualmente Volterra ha molte attrazioni da offrire ai turisti. Possiamo iniziare il nostro viaggio visitando il battistero, poi dirigendoci verso la cattedrale, Palazzo dei Priori o l'antico Teatro romano. I visitatori della Pinacoteca e del Museo Civico troveranno anche la vera perla del Rinascimento italiano, il dipinto *Cristo in gloria tra Santi e il committente*, Abate Giusto Bonvicini, di Domenico Ghirlandai. Se, tuttavia, qualcuno preferisce scavare ancora di più, Volterra è sicuramente un buon posto per questo. Sembrerebbe che il tempo si fosse fermato in questa città toscana. Passeggiando per le strade possiamo sentirci come nel Medioevo.

Vale la pena notare che Etruria non è mai stata un paese unificato perché ogni città era composta da città stato. Forse per questo motivo la leggendaria Velathri era così insolita e unica. In questa magica città è possibile visitare Il Museo etrusco Guarnacci, che contiene una vasta collezione di arte etrusca. Nel museo troveremo più di mezzo migliaio di urne di alabastro, la più famosa delle quali è *l'Urna degli Sposi*. Tra i numerosi sarcofagi ci imbatteremo anche in piccole figurine di animali, bassorilievi e *Ombra della sera*, che è una figura molto interessante. L'opera è stata realizzata in bronzo e misura meno di 60 cm. La scultura con la sua forma molto caratteristica e allungata ricorda un'ombra. Visitando i piani successivi, vale sicuramente la pena vedere la sala con gioielli etruschi, dove si trovano, ad esempio, vecchi specchi di bronzo, spille, orecchini. In una delle vetrine vedremo anche una collezione di anelli in oro e pietre preziose. Ci sorprenderà anche la loro forma. Alcuni di loro hanno una pietra ovale nel mezzo, mentre altri sono a forma di serpente. Gli anelli ci stupiranno anche con i colori che vanno dal rosso e dal giallo al bianco o al blu. Visitando il museo troveremo anche frammenti del pavimento antico e vari prodotti in bronzo.

Dopo aver lasciato il museo, possiamo andare a Porta all'Arco – un'enorme porta etrusca risalente al IV–III secolo a.C. Il viaggio potrà terminare con una visita a diversi negozi locali, nei quali viene venduto l'alabastro. Nell'antichità Volterra era un importante centro e lo è ancora per l'estrazione di questa materia prima. Attualmente, da esso vengono create figurine, piatti, vasi, scacchi e molto di più.

Prof. Tomasz Kaczmarek

Co teatr, to obyczaj. Przesady teatralne w Polsce i we Włoszech

Tłumaczenie: Dominika Kobylska

Można by powiedzieć, że wraz z rozpowszechnieniem się wykształcenia i nauki przesady zniknęły z tego świata raz na zawsze. Jednak niektórzy aktorzy, uważani za szczególnie zabobonnych, zachowują się tak, jakby chcieli podążać za słowami Eduarda de Filipa, według którego „bycie przesądnym jest dla ignorantów, jednak niebycie takim przynosi pecha”. I rzeczywiście, aktorzy z całego świata, zarówno ci teatralni, jak i kinowi, nie są w stanie uciec od pewnych małych, przesądnych rytuałów, by nie zagrozić udanemu występowi.

Po pierwsze zabrania się życzyć komuś powodzenia przed spektaklem, ponieważ, paradoksalnie, przyniosłoby to nieszczęście i nawet jeśli wymyślnie nam się to *złowróźbne* zawołanie, bez wątpienia usłyszymy: „nie, dziękuję...”, a w Polsce aktor powinien natychmiast złapać się za ucho. Co więcej, według włoskiej tradycji odpowiada się też „gówno, gówno, gówno” (lub używa się ekwiwalentu: „wielkie gówno”), czemu towarzyszy też kilka klapsów w pośladek. Wyrażenie to odnosi się do końskich ekskrementów, jako że w dawnych czasach udawano się do teatru zazwyczaj karocami. Im więcej ich nadjeżdżało, tym więcej łajna zostawało na ulicy – był to namacalny dowód na to, że dużo ludzi przybyło na spektakl, co świadczyło o jego sukcesie (także finansowym). Również w Polsce unika się życzeń, a właściwie pomija się wszelkie tego rodzaju formuły; w to miejsce przyjęto dawanie zwykłego kopniaka (byle nie zbyt mocnego), który powinien wystarczyć, by zapewnić powodzenie. Biada temu, kto upuści scenariusz sztuki na podłogę: to koszmarny każdy aktora. Przesąd ten jest podzielany uniwersalnie, jednak środki zapobiegawcze względem niego różnią się w zależności od kraju. We Włoszech, kiedy scenariusz upada, każdy aktor, zanim go podniesie, uderza nim trzy razy o podłogę dokładnie w miejscu, w którym upadł; w Polsce natomiast natychmiast przygniata się scenariusz stopą (trzy razy). Według niektórych wystarczy na nim usiąść, żeby uratować spektakl. Według *weteranów*, jak to mówi się o starych aktorach, powodzenie przynosi naprzemienne upuszczanie scenariusza i przygniatanie go stopą – ten prawie rytualny gest służy odegnaniu wszelkiego niepowodzenia w przyszłości. Z tego samego powodu nie wolno zostawiać skryptu na łóżku lub krześle, a jeśli aktor zapomni go zabrać z domu, nie może po niego wrócić. I oby nikt nie wszedł na scenę w swoim kapeluszu na głowie – taki nieuważny gest mógłby spowodować ogromne szkody.

Zarówno na Półwyspie Apenińskim, jak i na polskich nizinach absolutnie zabrania się gwizdania w teatrze. Kto nie respektuje tej złotej zasady,

ryzykuje tym, że może zostać wygwizdany przez zirytowaną publiczność, lub gorzej – zwolniony. Unika się pawich piór, które przynoszą na myśl diabelskie oko, znak *par excellence* złowieszczy. Przyniesienie ich na scenę wywołałoby chaos i na pewno przyczyniłoby się do porażki całego wieczoru. Są na to liczne dowody w postaci wspomnień ludzi teatru z całego świata, według których pióra w teatrze przyczyniały się do powstania wielu pożarów, szkód, wypadków (czasem śmiertelnych) i do innych katastrof, którym można było zapobiec przy odrobinie rozważli. W tradycjach teatralnych – zarówno polskich, jak i włoskich, uważa się, że nieszczęście przynosi wypowiedzenie słowa „sznur”, które, jak się przypuszcza, pochodzi z czasów, kiedy inkwizycja stosowała wobec grzeszników „torturowanie sznurem” – wśród ofiar znajdowali się aktorzy uważani za sprzymierzeńców diabła. W polskim świecie teatralnym gwóźdź znaleziony na scenie przynosi szczęście; także w tym włoskim znalezienie krzywego gwoździa nie przynosi pecha, wręcz przeciwnie, jest znakiem, który przegania nieszczęścia i złowrogie siły. W obydwu krajach odradza się użycia prawdziwych pieniędzy i biżuterii na scenie. Włoscy reżyserzy boją się przeprowadzać prób generalnych bez choćby jednego widza, podczas gdy polscy obawiają się w stu procentach udanej próby, bo myślą, że sukces nie powtórzy się na premierze – która musi zacząć się z 13-minutowym opóźnieniem. Z tego powodu zabrania się klaskania podczas próby generalnej.

Ludzie związani z teatrem szanują duchy, które nawiedzają to miejsce, dlatego pozostawia się dla nich jedną noc w tygodniu, kiedy jest on zupełnie pusty. Jest to zwykle noc poniedziałkowa. Według wierzeń trzeba zawsze zostawić zapalone światło (które czasem nazywane jest światłem *widmowym*), by zjawy mogły swobodnie się poruszać w rozświetlonej przestrzeni i dobrze się bawić podczas wystawiania swojego spektaklu. Ten rytuał ma także zastosowanie praktyczne, ponieważ każdy, kto chce wejść do teatru w dni robocze, nie musi dzięki niemu szukać po ciemku włącznika, nie robi sobie więc krzywdy, potykając się o różne rekwizyty sceniczne, których pełno jest zawsze za kulisami. Zabrania się wchodzenia na scenę, zaczynając od lewej nogi, do przymierzalni zaczynając od prawej, otwierania parasola w teatrze, podczas gdy przyzwała się na szydełkowanie podczas prób, jednak tylko pod warunkiem, że materiał nie zostanie popruty.

Także kolor noszony w budynku teatru może zostać uznany za przynoszący pecha. We Włoszech barwą, której należy bezwzględnie unikać, jest fiolet, który niegdyś kojarzony był z ornata-

mi, jakie księża przywdziewali w kościołach podczas Wielkiego Postu. Zgodnie z liturgią katolicką w czasie 40 dni pokuty przed Wielkanocą wszelkie przedstawienia były zabronione (szczególnie w średniowieczu) i biedni aktorzy nie mogli występować, czyli zarabiać na życie. Także nad Wisłą kolory uważane za pechowe są związane z tradycją religijną. Dwa są szczególnie niewskazane: żółty i czerwony. Według wierzeń w średniowieczu diabeł ubierał się na żółto i od tamtego momentu ten kolor jest zakazany. Jeśli jakaś aktorka otrzymałaby, na przykład, żółte róże (choć zawsze lepsza róża niż goździk), oznaczałoby to, że ktoś z jej bliskich umrze, podczas gdy obecność żółtego psa oznaczałaby rychły zgon jednego z członków trupy. Jeśli chodzi o zieleń, przypisywana ona była zwykle złym, manipulatorskim czarownicom, dlatego zwiastowała poważne kłopoty. Niemniej nie zakazywano użycia zielonego koloru na teatralnych afiszach, właściwie, dawał on nadzieję na sukces spektaklu. To samo dotyczy apotropaicznego znaczenia czerwonego sznurka, który chroni aktora od nieszczęścia.

Z pewnych rekwizytów nie korzysta się, jeśli chce się uniknąć porażki – trumna na scenie napawa lękiem wszystkich aktorów na świecie, ponieważ jest zapowiedzią nadchodzącej śmierci jednego z nich. Jakiej to zgrozy musiał doświadczać aktor, który grając rolę biednego Piera (Achille Campanile), musiał leżeć właśnie w trumnie. Poza tym, także obecność krzyża na scenie wzbudza postrach, szczególnie w Polsce, biorąc pod uwagę, że zwiastuje on śmierć albo – mniej przerażająca wersja – zmianę dyrektora teatru. Także występowanie lustra na scenie może spowodować wiele problemów i to nie zawsze technicznych. Istnieją jeszcze mniej znane zabobony, które przerażają przesądnych aktorów: jedna zakonnica między publicznością może spowodować utratę pamięci aktora, podczas gdy staruszka spotkana przed spektaklem może zwiastować fiasko całego przedstawienia. Potknięcie się na scenie (czy wręcz wywrócenie się), kiedy aktor przygotowuje się do wypowiedzenia pierwszej kwestii, niewątpliwie przyniesie nieszczęście. Nikt nie ważyłby się spożywać na scenie pestek dyni lub słonecznika w obawie o dalsze życie w biedzie.

Nie wyczerpując zupełnie tematu, przedstawiona lista przesądów ukazuje jak fascynujący jest teatr – jak stwierdza Cristian Pucci – „ze swoimi tajemnicami, dawnymi wierzeniami, swoimi przesądnymi gestami i rytuałami zapewniającymi szczęście”. Chociaż niewiele przyzna, że w nie wierzy, każdy ma swoje sposoby na utrzymanie się od złego losu z daleka.

Prof. Tomasz Kaczmarek

Teatro che vai, usanze che trovi. Uno sguardo sulle superstizioni teatrali in Polonia e in Italia

Con la diffusione dell'istruzione e della scienza, si direbbe che le superstizioni siano scomparse una volta per tutte. Eppure certi attori, considerati particolarmente scaramantici, si comportano come se volessero seguire il detto di Eduardo de Filippo secondo cui "essere superstiziosi è da ignoranti ma non esserlo porta male". E infatti in tutto il mondo ogni attore, che sia teatrale o cinematografico, non sfugge a certi piccoli riti scaramantici per non compromettere la buona riuscita della recitazione.

In primis, è proibito augurare a qualcuno buona fortuna prima di uno spettacolo perché paradossalmente porterebbe sfortuna e se ciononostante ci scappa quell'espressione *malaugurante*, per tutta risposta sentiremo senza dubbio un: "speriamo di no..."; o in Polonia, l'attore dovrebbe immediatamente toccarsi un orecchio. Pertanto, si dice nella tradizione italiana "merda, merda, merda" (un altro equivalente: "tanta merda") che è accompagnato da qualche pacca sul sedere. L'origine dell'espressione fa riferimento agli escrementi lasciati da cavalli, poiché tempo fa ci si recava solitamente a teatro in carrozza. E quante più ne arrivavano, tanta maggiore era la quantità di sterco lasciato sulla strada dai cavalli – segno tangibile dell'affollamento del pubblico e dunque di esito (e di incasso) favorevole della rappresentazione. Anche in Polonia non si usano espressioni di buon augurio, anzi, si omette ogni formula augurale; al suo posto, è ormai invalso l'uso di una semplice pedata (solo non troppo violenta) che dovrebbe bastare per assicurare un buon successo. Guai a chi fa cadere il copione della *pièce* sul pavimento: è un incubo per ogni attore. Questa superstizione è condivisa universalmente, ma i mezzi per allontanare il malocchio derivante dallo sciagurato avvenimento cambiano da paese a paese. In Italia, se il copione cade a terra, ogni teatrante, prima di raccoglierlo, lo batte tre volte a terra, proprio sul punto in cui è caduto; in Polonia, invece, il copione va immediatamente schiacciato col piede (per tre volte), secondo altri basta sedersi sopra per scongiurare l'eventualità della "caduta" dello spettacolo. Secondo i *veterani*, come vengono chiamati i vecchi attori, porta bene far cadere il copione a vicenda per poi schiacciarlo sempre con il piede – tale gesto quasi rituale servirebbe a scacciare in anticipo ogni male malefico. Per lo stesso motivo non si deve lasciare il copione sul letto o sulla sedia e se l'attore lo dimentica a casa, non deve ritornare a riprenderlo. Che nessuno entri in scena con il suo cappello sulla testa, quel gesto distratto può causare numerosi danni.

È assolutamente vietato fischiare nel

teatro, tanto nella penisola appenninica quanto sulle pianure polacche. Chi non rispetta questa regola d'oro, rischia di essere fischiato dal pubblico irritato o, peggio, essere licenziato. Si evitano le piume di pavone che fanno pensare all'occhio diabolico, segno *par excellence* sinistro. Portarle sul palcoscenico conseguirebbe il caos e sicuramente contribuirebbe al fiasco della serata. Ne testimoniano vari ricordi dei teatranti di tutto il mondo secondo i quali le piume nel teatro furono all'origine di tantissimi incendi, guasti, incidenti (a volte mortali) ed altre catastrofi che si sarebbero potuti sventare se solo si fosse stati più premurosi. Nelle tradizioni teatrali tanto polacche che italiane si ritiene che porti sfortuna pronunciare la parola "corda" che pare derivi dal tempo in cui l'Inquisizione esercitava contro i peccatori la "tortura della corda" – e fra le vittime figuravano i commedianti considerati complici del diavolo. Nel mondo teatrale polacco, un chiodo trovato sul palco porta fortuna; anche in quello italiano, trovare un chiodo storto non porta iella, ma, al contrario, è un segno che allontana disgrazie e influssi malefici. In ambedue paesi si sconsiglia di utilizzare denaro e gioielli veri in scena. I registi italiani hanno paura di eseguire una prova completa e filata senza avere nessun spettatore, mentre quelli polacchi sono spaventati dalla prova generale ben riuscita, come se avessero timore che il successo non si ripetesse durante la prima – che deve cominciare con 13 minuti di ritardo. Per questa ragione è vietato applaudire nel corso della generale.

I teatranti rispettano i fantasmi che infestano i teatri, perciò si offre a loro una notte alla settimana in cui il teatro è vuoto. Questa notte cade generalmente di lunedì, ma secondo le credenze si deve sempre lasciare la luce accesa (che talvolta viene chiamata *spettrale*) perché gli spiriti possano spostarsi liberamente nello spazio illuminato e divertirsi un mondo ad allestire il loro spettacolo. Questa superstizione ha anche un valore pratico poiché se qualcuno volesse entrare in teatro il giorno lavorativo, non dovrebbe cercare nell'oscurità un interruttore della luce e quindi non si farebbe male inciampando in vari oggetti di scena di cui sono solitamente ingombre le aree dietro le quinte. È vietato entrare sul palco con il piede sinistro, nel camerino con quello destro, aprire l'ombrello in teatro, mentre è accettabile lavorare a maglia durante le prove, ma non che si smagolino lavori fatti.

Anche un colore portato all'interno di un teatro può essere considerato sfortunato. In Italia il colore da evitare ad ogni costo è il viola, che anticamente si riferiva ai paramenti che i preti usavano nelle chiese durante la Quaresima. Con-

formemente alla liturgia cattolica, nel corso di tale periodo penitenziale di quaranta giorni in preparazione della Pasqua, tutte le rappresentazioni erano interdette (specie nel Medioevo) e i poveri attori non potevano esibirsi, e quindi, guadagnarsi la vita. Anche sulla Vistola i colori giudicati infausti sono legati alla tradizione religiosa. Due sono proibitissimi: il giallo e il verde. Secondo le credenze, nel Medioevo il diavolo si vestiva in giallo e, da quel momento in poi, quel colore venne bandito. Se un'attrice ricevesse, per esempio, delle rose gialle (ma una rosa è sempre meglio che un garofano), significherebbe certamente che un suo caro amico morirebbe, mentre la presenza di un cane giallo significherebbe l'imminente dipartita di un attore della *troupe*. Per quanto concerne il colore verde, che era attribuito prevalentemente alle maghe maliziose nonché macchinatrici, esso preannunciava gravi problemi. Ciò nondimeno, il verde non era bandito dal cartellone teatrale, anzi, dava la speranza di un successo dello spettacolo. Lo stesso riguarda il valore apotropaico di un filo rosso, che protegge l'attore dalla disgrazia.

Ci sono attrezzi che vanno evitati se uno non vuole correre il rischio di fallire: la bara sul palcoscenico sgomenta tutti i teatranti nel mondo, poiché lascia presagire la morte imminente di uno degli attori. Che sgomento doveva provare l'attore che interpretava la parte del povero Pietro (Achille Campanile) a cui toccava il destino di star disteso in una cassa da morto. A parte il feretro, anche la presenza della croce sul palco provoca timore, specie in Polonia, dato che essa annuncia la morte o – versione meno terrificante – il cambiamento del direttore del teatro. Anche la presenza di uno specchio sul palco può causare tanti problemi e non sempre tecnici. Ci sono ancora superstizioni meno conosciute che spaventano gli attori scaramantici: una sola religiosa tra il pubblico può causare la perdita di memoria dell'attore, mentre una vecchia donna incontra prima dello spettacolo può preannunciare il fiasco della rappresentazione. L'inciampare sul palco (o addirittura incappare in un capitombolo) quando il commediante si appresta a pronunciare la prima battuta porterà senza dubbio sfortuna. Nessuno oserebbe mangiare sul palco semi di zucca o di girasole per paura che gli tocchi di vivere nella povertà. Senza pretendere l'eshaustività completa, questo elenco di superstizioni mostra come il teatro è affascinante, come constata Cristian Pucci, "con i suoi misteri, le sue antiche credenze, i suoi gesti scaramantici e riti portafortuna". Anche se pochi diranno che ci credono, ognuno ha propri rimedi per tenere lontano la cattiva sorte.

Magia nieoczekiwanego absurdu

Szukając interesującej współczesnej literatury włoskiej, jak typowy czytelnik kierowałam się prestiżowymi nagrodami literackimi: premio Campiello czy premio Viareggio¹ brzmią przecież całkiem nieźle. Z kolei po przeczytaniu krótkiego opisu na odwrocie okładki zrozumiałam, że znalazłam książkę na jeden, góra dwa wieczory (czemu nie, przecież te jesienne są tak udręczająco długie i depresyjne...). I całe szczęście, że świat nie jest tak czarno-biały, jak niektórzy mogliby sądzić, bo dzięki temu trzymałam w ręku *Mr Gwyn* z 2011 r. napisaną przez Alessandra Baricco (w tłumaczeniu Lucyny Rodziewicz-Doktór), książkę lekką, przyjemną, ale szczęśliwie wcale nie tak znów banalną czy pozbawioną jakiegokolwiek głębi.

Temat iście „lekki”: znudzenie życiem i nieuleczalne poczucie pustki. Bohater, Jasper Gwyn, pisarz mieszkający w Londynie, stwierdza pewnego dnia, że to, czym się zajmuje, całkowicie przestało mu odpowiadać, a na dodatek orientuje się, że „nic [go] już nie obchodzi i wszystko zadaje wręcz śmiertelny ból”². No pięknie, a miało być tak przyjemnie, z dala od rzeczywistości, a tu problem napotkany zapewne przynajmniej raz w życiu przez każdego człowieka. Tytułowy pan Gwyn publikuje w „Guardianie” listę rzeczy, których nie zamierza więcej wykonywać, np. pisać artykułów do „Guardiana”, a także pisać książek w ogóle. Nie pomagają argumenty, że przecież nawet Martin Amis zarzekał się, że do pisania nie wróci (a wrócił), nie pomaga tym bardziej cytowanie znienawidzonego przez bohatera Marcela Prousta, że „rozstrzygające postanowienia robimy zawsze pod wpływem nastroju, któremu nie jest przeznaczone trwać”. Jasper Gwyn brnie w zaparte, wyjeżdża na długie wakacje i postanawia wszystko zmienić. Czy to już nie przypomina zanadto banału? Trochę tak, a ledwie na 44 stronie nieomal zawał: „Jasper Gwyn, nie wiedząc, że zmieni to jego życie, zaczął wertować katalog” – banał do bólu, jak z typowej komedii romantycznej. Jednak jakimś cudem nie spisałam za wcześniej na straty przegrodę znudzonego dotychczasową egzystencją pisarza.

Okazuje się bowiem, że jego sposób na odmianną jest dosyć nietypowy: zainspirowany wspomnianym katalogiem, postanawia „pisać portrety”. Co to dokładnie ma oznaczać, nie wie on sam przez dosyć długi czas, realizując przy tym krok po kroku swój tajemniczy, nieco

wręcz absurdalny plan: wynajmuje pusty lokal (słowo „umeblowanie” działało mu na nerwy) ze zniszczoną podłogą i wykwitami grzybnymi na suficie czy rurami na widoku (w możliwie złym stanie), „zamawia dźwięki” u przyjaciela kompozytora oraz ręcznie wykonane żarówki (o „dziecinne” barwie, a każda z nich ma gasnąć po 32 dniach pracy „dogorywając przez chwilę”). Jako że wydaje sporą sumę pieniędzy na samo zaplecze do nowego zajęcia, plan nie może nie wypalić. Wraz z pomocą swojej sekretarki, selekcjonuje ludzi, którym będzie pisać portrety, by „sprowadzić ich do domu”. W jaki sposób Gwyn objawia prawdę ludziom o nich samych, tak, że czują się oczyszczeni? Czy wystarczy zrozumieć, że „jesteśmy całą historią, a nie tylko jedną postacią [...] lasem, po którym ona chodzi, złym bohaterem, który ją oszukuje”? Trudno do końca stwierdzić, na ile jest to nazbyt banalna propozycja nachalnego coachingu, a na ile prosta, prawdziwa refleksja na temat życia. Nie zmienia to faktu, że nie rezygnując przedwcześnie z lektury, otworzyłam sobie drogę ku temu, czego tak często wypatruję w literaturze czy sztuce w ogóle: przyjemnemu (tutaj całkowicie nieoczekiwanemu) absurdowi.

Bohater, szukając nowej drogi, doświadcza ciekawych rzeczy, poznaje nietypowych ludzi (nawiązuje relacje nawet z tymi, których już nie ma na tym świecie: „– Pani nie jest za stara. Pani nie żyje. [...] – Umieranie to tylko szczególnie precyzyjny sposób starzenia się”). Jego życie nie zmienia się na lepsze tylko dlatego, że zmienił wszystko, nadal zmagając się z przeciwnościami losu, w tym ze stratą bliskiej osoby, jednak (jak to się chyba często zdarza we włoskiej sztuce³) wszystko to przeplata się z czarnym humorem („– Proszę mi wybaczyć spóźnienie. Ktoś wypełnił w metrze samobójstwo. – Naprawdę? – Nie, po prostu nie zdążyłam. Przepraszam”), czy właśnie tak bliskim mi absurdem. Świat głównego bohatera jest światem, w którym psom nadaje się imiona pianistów, „co pozwalało Jasperowi Gwynowi twierdzić – przy czym wcale nie kłamał – że pogryzł go kiedyś Radu Lupu.

3 Choć trudno porównywać *Pana Gwyna* z włoskimi dziełami takimi jak *Życie jest piękne* Roberta Benigniego czy *Małżeństwo po włosku* Vittoria de Siki, widać pewną wspólną cechę: smutne zdarzenia przeplatają się z humorem czy absurdem – jak to w życiu, nic nie jest do końca czarne ani do końca białe. Jeśli zaś chodzi o współczesną włoską literaturę, to podobny zabieg widzimy chociażby u Mileny Agus (*Ból kamieni*), gdzie tragiczne zdarzenia również przedstawiane są z dużą dozą humoru. Nawet w *Powtórnie narodzonym* Margaret Mazzantini, w której porusza się tematy wojny w byłej Jugosławii, nie brak cierpkiej ironii. Odnosi się więc ogólne wrażenie, że tematy banalne, smutne czy tragiczne we włoskim filmie czy literaturze często łączy się (pełnie jak w rzeczywistości) ze śmiechem i ciepłym dystansem.

[...] Potem poszli do parku, żeby Martha Argerich mogła zrobić kupę”. To także świat, w którym żarówki (według obowiązujących konwenansów) otrzymują imiona królowych lub księżnych: „Staruszek podał mu jedną. Była to Elżbieta Romanowa. Jasper Gwyn ścisnął ją ostrożnie w dłoni. Staruszek się skrzywił. – Proszę się posługiwać palcami. Tak ją pan zabije”. W tej zwyczajnej rzeczywistości, momentami tak banalnej, momentami zaś smutnej i tragicznej, odnajdujemy całkiem niezwykłe elementy humoru i absurdu. I gdy w jednej chwili gotowa jestem zarzucić lekturę przez zdanie niebezpiecznie ocierające się o kicz coachingu: „wyjaśnił mi, że wszyscy mamy o sobie jakieś wyobrażenie, może ledwo zarysowane, niejasne [...] i często to wyobrażenie zbiega się z jakąś wymyśloną postacią, w której się dostrzegamy”, docieram do zdania: „Rozmawiali o burzach, o zemście i o oczekiwaniu. W pewnym momencie powiedziała, że wolałaby świat bez liczb i życie bez powtórek”. I chyba właśnie dla tych absurdalnych burz, żarówek, rozmownych zmarłych czy Marthy Argerich wyprowadzanej na spacer warto było spędzić wieczór z Panem Gwynem.



Lungomare di Trani, Puglia (aut. Irene Fioravanti)

1 Alessandro Baricco został finalistą premio Campiello w 1991 r., premio Viareggio otrzymał w 1993 r., został także zauważony przez francuskie jury, otrzymując w 1995 r. Prix Médicis étranger za najlepsze dzieło zagraniczne.

2 A. Baricco, *Mr Gwyn*, (przeł. Lucyna Rodziewicz-Doktór), Katowice, Wydawnictwo Sonia Draga, 2018. Wszystkie cytaty pochodzą z tej książki.

Weronika Kursa

La magia dell'assurdo inaspettato

Traduzione: Piotr Kowalski

Quando cercavo una letteratura italiana moderna interessante, seguivo, da tipica lettrice, i prestigiosi premi letterari: premio Campiello o premio Viareggio¹ suonano, in fondo, abbastanza bene. Ma dopo aver letto la breve descrizione sul retro della copertina ho capito che si trattava di un libro per una o al massimo due serate (e perché no, quelle di autunno sono talmente lunghe e depressive...). Per fortuna il mondo non è così bianco e nero come qualcuno potrebbe pensare, poiché grazie a questo tenevo in mano *Mr Gwyn* del 2011 scritto da Alessandro Baricco (in traduzione polacca di Lucyna Rodziewicz-Doktór), un libro leggero e gradevole ma fortunatamente non così banale o privo di alcuna profondità.

Il tema è davvero "leggero": la stanchezza della vita e l'incurabile senso di vuoto. Il protagonista, Jasper Gwyn, uno scrittore di Londra, arriva un giorno alla conclusione che la sua professione non gli sta più per niente bene e, inoltre,

¹ Alessandro Baricco è stato finalista del premio Campiello nel 1991, ha ricevuto il premio Viareggio nel 1993, è stato notato anche da critici francesi ricevendo nel 1995 il Prix Médicis étranger per la migliore opera straniera.

si rende conto che "niente l'interessa e tutto infigge un dolore addirittura mortale"². Stupendo, il libro avrebbe dovuto essere così gradevole, lontano dalla realtà, ma comincia con un problema incontrato almeno una volta nella vita di ognuno. Mr Gwyn pubblica nel "Guardian" una lista delle cose che non ha intenzione di fare più, ad esempio scrivere per il "Guardian" o non scrivere libri affatto. Non aiutano gli argomenti che persino Martin Amis ha giurato che non sarebbe ritornato a scrivere (ed è ritornato), per non parlare delle citazioni dell'odiato Marcel Proust che "è sempre in uno stato d'animo non destinato a durare che si prendono risoluzioni definitive". Jasper Gwyn insiste, parte per una lunga vacanza e decide di cambiare tutto. Non sembra troppo banale? Un po' sì, ma già nella pagina 44 arriviamo a un infarto: "Jasper Gwyn, non sapendo che questo avrebbe cambiato la sua vita, cominciò a sfogliare un catalogo" – un cliché eccessivo, da tipica commedia romantica. Ma miracolosamente a questo punto non ho abbandonato la lettura delle avventure dello scrittore annoiato con la sua esistenza precedente.

Infatti, il suo modo di cambiar tutto è assai atipico: ispirato al catalogo, decide di "scrivere ritratti". Cosa significherebbe, non sa dire per un periodo piuttosto prolungato, realizzando passo dopo passo il suo misterioso, a volte anche assurdo progetto: prende in affitto un locale vuoto (la parola "arredamento" gli dava ai nervi) con il pavimento rovinato, macchie di muffa sulle pareti, tubature esposte (possibilmente in cattivo stato), "ordina suoni" da un collega compositore e lampadine fatte a mano (con luce "infantile" che dovrebbe spegnersi "morendo per un momento" dopo 32 giorni di lavoro). Siccome spende una grossa somma per il solo atelier della sua nuova occupazione, l'impresa non può fallire. Con l'aiuto della sua segretaria seleziona persone da ritrarre per iscritto con lo scopo di "farle tornare a casa". In che modo Gwyn rivela la verità su loro stessi, così che si sentano purgati? Basta capire che "noi siamo tutta la storia, non solo un personaggio. Siamo il bosco dove lui cammina, il cattivo protagonista che lo frega"? È difficile constatare fino in fondo in che misura si tratta di una proposta troppo banale di un *coaching* presuntuoso o di una semplice e vera riflessione sulla vita. Questo non cambia il fatto che, non avendo precocemente abbandonato la lettura, mi sono aperta la strada per ciò che cerco nella letteratura o nell'arte in genere: l'assurdo gradevole (qui assolutamente inaspettato).

² A. Baricco, *Mr. Gwyn*, (trad. in polacco da Lucyna Rodziewicz-Doktór), Katowice, Wydawnictwo Sonia Draga, 2018. Tutte le citazioni sono state tradotte.

Il protagonista nella sua ricerca di una nuova strada conosce delle persone fuori dal comune (entra persino in rapporto con quelli che non ci sono più – "Lei non è troppo vecchia. Lei è morta. [...] La morte è solo un modo particolarmente preciso di invecchiare"). La sua vita non migliora solo perché ha cambiato tutto, deve sempre affrontare le avversità della sorte, inclusa la perdita di una persona cara. Eppure (come capita probabilmente spesso nell'arte italiana³) tutto ciò viene intrecciato con dell'umore nero ("– Mi scusi per il ritardo. Qualcuno si è suicidato alla stazione della metro. – Davvero? – No, semplicemente non ho fatto in tempo. Mi scusi") oppure con dell'assurdo che mi è particolarmente caro. Il mondo del protagonista è un mondo dove i cani portano i nomi dei pianisti, "il che permetteva a Jasper Gwyn di dire – e senza mentire – che fu morso da Radu Lupu. [...] Poi andarono al parco perché Martha Argerich potesse fare cacca", è pure un mondo dove le lampadine (per convenzione vigente) ricevono i nomi delle regine o duchesse: "Il vecchietto gliene diede una. Era Elisabetta di Russia. Jasper Gwyn la strinse nella mano. Il vecchietto storse il naso. Usi le dita, per favore. Così la può uccidere". In questa realtà normale, a volte così banale, a volte anche triste e tragica, troviamo dei piuttosto insoliti elementi di umore e di assurdo. E quando in un batter d'occhio sono pronta ad abbandonare la lettura a causa di una frase pericolosamente sfiorante, il kitsch del *coaching*: "mi spiegò che tutti abbiamo una certa idea di noi stessi, magari appena abbozzata, confusa, [...] la verità è che spesso quell'idea la facciamo coincidere con un certo personaggio immaginario in cui ci riconosciamo", arrivo alla frase: "Parlavano delle temporali, della vendetta e dell'attesa. A un certo punto disse che avrebbe preferito il mondo senza numeri e la vita senza ripetizioni". E forse per queste temporali assurde, lampadine, morti loquaci o Martha Argerich fatta uscire, è valsa la pena passare la serata con Mr Gwyn.

³ Nonostante sia difficile paragonare *Mr Gwyn* con le opere italiane come *La vita è bella* di Roberto Benigni oppure *Il matrimonio all'italiana* di Vittorio de Sica, si può notare una caratteristica comune: gli avvenimenti tristi vengono intrecciati con l'umore e l'assurdo – come nella vita, niente è completamente nero o completamente bianco. Per quanto riguarda la letteratura italiana moderna, vediamo un procedimento simile nelle opere di Milena Agus (*Mal di pietre*), dove le storie tragiche sono rappresentate con notevole umorismo. Anche in *Venuto al mondo* di Margaret Mazzantini, dove viene affrontato il tema della guerra nella ex-Jugoslavia, non manca l'aspra ironia. Si ha dunque la sensazione generale che le cose banali, tristi o tragiche nel cinema e nella letteratura italiane vengano spesso accostate (proprio come nella realtà) con il riso e il distacco cordiale.

Czego nauczył nas koronawirus?

Jesteśmy już po, niektórzy w samym środku, a może i przed lockdownem. Jakie piękne, polskie słowo, które znają już wszyscy na świecie! :)

Możemy znaleźć kilka synonimów, które nadadzą tekstowi trochę polskości: izolacja, kwarantanna narodowa, przymusowy pobyt w domu. Dla wszystkich, na całym świecie, czas się zatrzymał. Musimy przeżyć ten okres niezależnie od tego, na której półkuli się znajdujemy. Izolacja pokazała nam, że niczym się nie różnimy. Ja i Lewandowski, ty i Totti, przeżywamy ją w ten sam sposób. Prawdopodobnie oni spędzają czas w ogromnej willi i nie martwią się o brak pieniędzy pod koniec miesiąca, ale każdy z nas przeżywa ten sam ból: nie możemy wyjść z domu, nie możemy się spotkać z rodziną. W taki sam sposób jesteśmy narażeni na koronawirusa. Nie trzeba wspominać, że to doświadczenie naznaczyło ludzkość. Na pewno doprowadziło nas do przeżywania tego, o czym nigdy byśmy nie pomyśleli. Moje pytanie brzmi: jaka jest Twoja pierwsza myśl, gdy słyszysz słowo „koronawirus”?

Z pewnością nie masz na myśli nic pozytywnego (chyba że pozytywny test na koronę, ale nie uważam tego za szczęśliwy moment). Musimy być wdzięczni za małe rzeczy, za lekcje, jakie nam dało to doświadczenie. Głupio myśleć, że to cudowny czas, ponieważ wielu z nas doświadczyło prawdziwego bólu, ale głupio też myśleć, że przydarzyły nam się same nieszczęścia. Chcę pokazać, że koronawirus nauczył nas dużo więcej niż myślisz.

1. Nic nie jest wieczne

Wiele osób straciło pracę. W TV słyszymy o przedsiębiorcach, którzy musieli zamknąć swoje biznesy. Uczymy nas to, że nic nie jest wieczne, nie mamy czasu do stracenia i musimy doceniać to, co mamy. Nasz czas jest ograniczony i musimy być tego świadomi. Słowa, które warto pamiętać w trudnych sytuacjach pochodzą z wiersza Wisławy Szymborskiej:

*Czemu ty się, zła godzino,
z niepotrzebnym mieszasz lękiem?*

Jesteś – a więc musisz minąć.

Miniesz – a więc to jest piękne.

Najważniejsze to kończyć dzień z uśmiechem. Spróbujmy iść spać wdzięczni i usatysfakcjonowani, bo mamy więcej niż myślimy.

2. Znaczenie podróży, kultury, spotkań z przyjaciółmi

Marta Mazur

Che cosa ci ha insegnato il coronavirus?

Siamo già alla fine, alcuni nel bel mezzo, e forse anche prima del lockdown. Bellissima parola proprio italiana che adesso

Odmówiłaś kiedyś spotkania ze znajomymi/ pójścia do kina, bo nie chciało Ci się myć włosów albo wstać z łóżka? Koniec z leniwymi dniami! Teraz dalibyśmy się pociąć za wypad na piwo ze znajomymi! Znudziło Ci się oglądanie Netflix'a? Poszłoby się do kina... Przeglądasz swoje zdjęcia z wakacji w słonecznej Italii albo znad morza na Sardynii? Teraz możesz to zrobić palcem po mapie. Podziękujemy wynalazcom tak zaawansowanej technologii. W zaledwie 2 minuty możesz znaleźć się na drugim końcu świata, wszystko dzięki Google maps! Zamknęli twoją ulubioną siłownię, ale nie przestałeś ćwiczyć? Brawo! Nauczyłeś się podciągać na oparciach dwóch krzeseł! Co najważniejsze, widzimy, że praca czy studia online są tak samo wartościowe, kiedy wykonujesz je ze swojego ulubionego fotela (niektórzy z łóżka, ale nie polecam... nie znasz dnia ani godziny, kiedy wykładowca każe włączyć kamerkę!).

3. Nie da się żyć bez Internetu

Jako że jesteśmy już w temacie nauczania i pracy zdalnej, możemy dojść do pewnej konkluzji: nie da się żyć bez dostępu do Internetu. Już przed pandemią mieliśmy świadomość o uzależnieniach od technologii oraz o tym, że dostęp do Internetu ułatwia nam życie, ale czy ktoś się spodziewał, że będzie to jedyny sposób na przetrwanie?

Studiujemy online,

pracujemy online,

robimy zakupy online.

Kto wie co jeszcze będziemy robić online!

Teraz spróbuj sobie wyobrazić, że lockdown ma miejsce 15 lat temu. Co zrobilibyśmy bez technologii, którą dzisiaj bierzemy za pewnik?

4. Siła relacji

Bierzemy za pewnik także nasze związki i przyjaźnie. Jeśli podczas kwarantanny mieszkałeś ze swoim partnerem pod jednym dachem i nadal jesteście żywi – gratulacje! Zdaliście najtrudniejszy test w związku. Zdenerwowani i zestresowani sytuacją, byliście skazani tylko na siebie. Koronawirus pomógł wam zakończyć niestabilną relację lub wręcz przeciwnie, pogłębił ją i wzmocnił.

5. Wszyscy jesteśmy masterchefami

A propos bycia zamkniętym w mieszkaniu... Co wykupili ludzie podczas kwarantanny? Papier toaletowy i drożdże. Nie wiem, co skłoniło wszystkich do masowego kupowania papieru toaletowego, ale wiem, że większość z nas odkryła talent

kulinarny i dlatego wykupiliśmy drożdże. Nagle każdy sobie przypomniał, że pizzy nie trzeba zamawiać, ale można też zrobić samemu. A ileż jest zabawy przy wspólnym wyrabianiu ciasta!

6. Spacer = radość

Czytałam, że podczas pandemii koronawirusa ludzie zaczęli adoptować psy. Dlaczego?

Nikt nie mógł zabronić wyprowadzania pupila na spacer. Jeśli ktoś czuł się zmęczony kwarantanną, były to psy. Nawet sąsiedzi oferowali swą pomoc w wyprowadzaniu futrzaka, a my sami także nie zrezygnowaliśmy z tej przyjemności. Nigdy wcześniej Azor nie był tyle razy w ciągu dnia na spacerze!

7. Jesteśmy zwierzętami stadnymi

Pamiętasz, jak wkurzałeś się na sąsiada, który głośno słucha muzyki? Szybko wciskałeś przycisk w windzie, żeby tylko zdążyć odjechać zanim ten do niej wejdzie? Teraz wyglądasz przez okno tylko po to, żeby mu pomachać. Pokazaliśmy, że jesteśmy zwierzętami stadnymi, potrzebujemy znajomych twarzy. Jaką radość dało nam oglądanie Włochów śpiewających z balkonów swoich mieszkań! Może ktoś odkrył swój ukryty talent?

8. Gdy ludzi nie ma, zwierzęta harczą

Wszyscy znamy przysłowie „gdy kota nie ma, myszy harczą”, ale teraz zmieniają się bohaterowie słynnego powiedzenia. Ludzie byli zmuszeni do pozostania w domu, a natura odradza się na nowo. W porcie w Cagliari widziano delfiny, w Fontannie di Trevi pływają kaczkę, a kanały w Wenecji nigdy nie były takie czyste. Także w Polsce żubry wyszły w miejsca, gdzie nigdy wcześniej by się nie pokazały. Prawdopodobnie poprosiliby o zakaz wchodzenia do lasów, bo dzięki temu teraz mogą swobodnie żyć w swoich domach. Oto lekcja: musimy się przyczynić do polepszenia stanu naszej planety. Możliwość jednego małego człowieka są ograniczone, ale 7 miliardów ludzi, pracując razem, może osiągnąć coś naprawdę wielkiego. To tylko niektóre z lekcji, jakie dał nam koronawirus. Kto wie, ile jeszcze nas nauczy. Musimy tylko pamiętać, że nic nie straciliśmy, a jedynie zyskaliśmy! Zyskaliśmy nowe doświadczenia, poprawił się stan natury, a nasze życie uległo zmianie!

BIBLIOGRAFIA: https://poezja.org/wz/Szymborska_Wis%C5%82awa/106/Nic_dwa_razy [dostęp: 30.01.2021]



conoscono tutti nel mondo! :)

Ne possiamo trovare anche altre per rendere il testo più italiano: isolamento, chiusura

totale o quarantena. Per tutti, in tutto il mondo, il tempo si è fermato. Dobbiamo sopravvivere a questo periodo, non importa in quale emisfe-

ro ci troviamo. L'isolamento ha dimostrato che siamo tutti uguali. Io e Totti, tu e Lewandowski, lo viviamo allo stesso modo. Probabilmente loro passano il tempo in una grande villa senza paura di mancanza dei soldi per il cibo alla fine del mese, ma ognuno di noi vive lo stesso dolore: non può uscire di casa, non può incontrare la famiglia. Allo stesso modo siamo esposti al virus. È inutile dire che questa esperienza non abbia segnato l'umanità. Sicuramente ci ha portato a sperimentare le sensazioni che non avremmo pensato di poter vivere nella nostra quotidianità. La mia domanda è: qual è il tuo primo pensiero quando senti la parola "coronavirus"?

Di certo non pensi a nulla di positivo (a meno che non si tratti di un test coronavirus positivo, ma non possiamo considerarlo un momento felice della vita). Dobbiamo trovare piccole cose che ci rendono grati per questa esperienza, grati per le lezioni che abbiamo avuto l'opportunità di imparare. È stupido pensare, ovviamente, che questa sia stata solo una bella esperienza, perché c'è stato del dolore vero, ma è anche stupido pensare che ci sono state solo cose brutte. Voglio mostrarti che il coronavirus ci ha insegnato più di quanto pensi.

1. Niente è eterno

Molte persone hanno perso il lavoro. In TV si sente parlare di imprenditori che hanno dovuto chiudere i loro affari. Questo ci ha insegnato che nulla è eterno, non c'è tempo da perdere e dobbiamo apprezzare ciò che abbiamo. Il tempo è limitato e dobbiamo esserne consapevoli. Le parole da ricordare in situazioni difficili provengono da una poesia di Wisława Szymborska:

*Perché tu, malvagia ora,
dài paura e incertezze?*

Ci sei – perciò devi passare.

Passerai – e qui sta la bellezza.

L'importante è terminare sempre la giornata con il cuore sereno. Cerchiamo di addormentarci con gratitudine e soddisfazione perché abbiamo molto più di quanto pensiamo.

2. Importanza dei viaggi, della cultura, degli incontri con gli amici

Ti sei mai rifiutato di incontrare i tuoi amici / andare al cinema perché non volevi lavarti i capelli o alzarti dal letto? Basta con i giorni di pigrizia! Ora doneremmo volentieri un braccio per andare a bere con gli amici! Annoiato di guardare film su Netflix? Ti piacerebbe andare al cinema, eh? Guardi le tue foto del viaggio nella soleggiata Italia, del mare in Sardegna? Ora

puoi farlo con il dito sulla mappa. Ringraziamo gli inventori di una tecnologia così avanzata: puoi essere dall'altra parte del mondo in soli 2 minuti, grazie a Google maps! Hanno chiuso la tua palestra, ma questo non ti ha impedito di allenarti? Hai imparato a fare sollevamenti persino sullo schienale di due sedie! La cosa più importante è che il lavoro e gli studi siano ugualmente preziosi quando li fai a casa sulla tua sedia preferita (alcuni lo fanno anche dal letto, ma non lo consiglierai... non sai né giorno né ora quando il docente ti chiederà di accendere la videocamera!).

3. Non si può vivere senza Internet

Dato che siamo già nella materia dell'insegnamento e del lavoro a distanza, possiamo trarre una conclusione: non si può vivere senza accesso Internet. Sapevamo già prima della pandemia delle dipendenze della tecnologia e da come l'accesso Internet rende la vita più facile, ma qualcuno si aspettava che questo fosse l'unico modo per sopravvivere?

Studiamo online

lavoriamo online

facciamo le spese online

chissà cos'altro inizieremo a fare online in futuro!

Adesso prova ad immaginarti se il lockdown da Covid19 fosse accaduto 15 anni fa. Cosa avremmo fatto senza la tecnologia che oggi diamo per scontata?

4. Forza del rapporto

Diamo anche per scontata le nostre relazioni e le nostre amicizie. Se durante l'isolamento hai vissuto con il tuo partner per lunghi giorni sotto lo stesso tetto e ne siete usciti vivi – congratulazioni, avete superato il test più importante che le coppie possano affrontare! Nervosi, stressati dalla situazione attuale eravate bloccati l'uno con l'altro. Il coronavirus vi ha aiutato a porre fine alla vostra instabile relazione o, al contrario, l'ha approfondita e resa più forte.

5. Tutti siamo pizzaioli

A proposito di stare a casa... Che cosa ha acquistato la gente durante la quarantena nazionale? Carta igienica e lievito. Non so cosa abbia spinto tutti a comprare carta igienica... ma so che la maggior parte di noi ha scoperto talenti culinari ed è per questo che ha comprato il lievito. Improvvisamente, la gente si è ricordata che la pizza non deve essere ordinata ma si può farla a casa. Che divertimento preparare l'impasto insieme!

6. La passeggiata = una gioia

Ho letto che durante la pandemia del coronavirus la gente ha iniziato ad adottare cani. Perché?

Perché nessuno poteva proibire di uscire fuori casa con il proprio cane.

Se qualcuno era stanco per la quarantena, erano i cani. I vicini di casa si offrivano per una passeggiata col nostro peloso amico, ma anche i proprietari non si sono risparmiati questo piacere. Mai prima d'ora Fido era stato fuori così tante volte durante un giorno!

7. Siamo animali sociali

Ti ricordi quanto eri incavolato perché il tuo vicino di casa ascoltava la musica troppo forte?

Hai premuto rapidamente un pulsante nell'ascensore in modo che potesse partire prima che qualcun altro entrasse? Ora guardi dalla finestra solo per salutarlo. Abbiamo dimostrato che l'uomo è un animale da branco, ha bisogno di un volto amico. È stato bello vedere gli italiani cantare sui balconi dei loro appartamenti. Forse qualcuno ha scoperto il proprio talento.

8. Quando la gente non c'è, gli animali ballano

Ognuno di noi conosce il proverbio "quando il gatto non c'è i topi ballano" ma ora i protagonisti del detto sono cambiati. La gente era costretta a stare a casa e la natura ha iniziato a rigenerarsi. Nel porto di Cagliari sono stati avvistati dei delfini, nella fontana di Trevi nuotano le anatre, l'acqua di Venezia è di nuovo limpida. Anche in Polonia è riapparso il bisonte in luoghi dove non lo si vedeva durante il giorno in primavera.

Probabilmente chiederebbe di mantenere il divieto di entrare nella foresta perché grazie a questo può finalmente muoversi liberamente nella sua casa. La lezione è la seguente: la nostra responsabilità nei confronti della natura deve migliorare. Come singolo essere umano quello che possiamo fare è limitato ma se 7 miliardi di persone lavorano insieme, otterranno sicuramente qualcosa. Queste sono solo alcune delle lezioni che la pandemia (che è ancora in corso) ci ha dato. Chissà quanto possiamo ancora imparare. Dobbiamo ricordare che non abbiamo perso nulla, abbiamo invece guadagnato: nuova esperienza, rivitalizzazione della natura e riorganizzazione della nostra vita.

BIBLIOGRAFIA:

Wisława Szymborska (a cura di Pietro Marchesani), *Amore a prima vista*, Adelphi, Milano 2001 (pp. 20–23).

Weronika Marzec

Erasmus w czasach COVID-19: da się zrobić!

Wyobraźcie sobie, że możecie się przeprowadzić na sześć miesięcy lub na cały rok do zupełnie innej rzeczywistości, oderwać się od zbyt znanej już codzienności, poznać osoby z różnych krajów,

stać się mieszkańcami obcego miejsca. Gdy jest się studentem, jest to łatwe do zrealizowania, a niestety stosunkowo mało osób podejmuje tę decyzję. Jedną z najlepszych możliwości, jakie uczelnie oferują studentom, jest właśnie wy-

miana studencka Erasmus. Osobiście uważam moje dwie wymiany, obie w Mediolanie, za najlepsze decyzje w moim życiu i czas największego rozwoju osobistego.

Moja pierwsza wymiana Erasmus miała

miejsce w 2019 roku na Katolickim Uniwersytecie Najświętszego Serca. Wtedy studiowałam za granicą tylko przez jeden semestr. Spodobało mi się tak bardzo, że we wrześniu 2020 powróciłam do Mediolanu, ale tym razem już na cały rok na uczelnię IULM. Do ostatniej chwili nie byłam pewna mojego wyjazdu do Włoch z powodu pandemii. Niestety sytuacja spowodowana koronawirusem nie ułatwia nauki i życia, ale również dzięki temu nauczyłam się doceniać jeszcze bardziej każdą chwilę spędzoną w moim ukochanym Mediolanie.

Nie chciałam koncentrować się na zaletach i wadach obu uniwersytetów. Mogę tylko powiedzieć, że w przypadku studentów italianistyki IULM polecam bardziej przyszłym tłumaczom ustnym i pasjonatom przekładu, a Uniwersytet Katolicki humanistom zainteresowanym literaturą, historią i sztuką. Jestem jednak przekonana, że każdy znajdzie coś dla siebie wśród nieskończonej oferty zajęć obu uniwersytetów. Bez wątplenia obie uczelnie reprezentują bardzo wysoki poziom i umożliwiają rozwój na wielu płaszczyznach.

Uniwersytet IULM oferuje szereg kierunków studiów. Jednym z nich jest Interpretariato e comunicazione (pol. Tłumaczenia ustne i komunikacja). Będąc studentką italianistyki, uczęszczam na wszystkie zajęcia właśnie z tego kierunku. Specjalnością IULM są tłumaczenia symultaniczne i dlatego uczelnia posiada wiele profesjonalnych kabin dźwiękoszczelnych do ćwiczeń. Niestety z powodu pandemii nie mogłam przeżyć tego doświadczenia tak, jakbym chciała. Większość zajęć odbywa się online, poprzez platformę Microsoft Teams, również zajęcia z tłumaczeń symultanicznych. Nie mogę jednak narzekać, ponieważ podczas gdy moi znajomi z kierunku w Łodzi uczęszczają na zajęcia jedynie online, ja mam jeszcze możliwość chodzenia na niektóre wykłady stacjonarnie. Za każdym razem muszę rezerwować miejsce przez aplikację uniwersytecką, żeby liczba studentów w auli nie przekroczyła liczby dostępnych miejsc, które oczywiście są zredukowane w porównaniu z normalnymi warunkami. Przy wejściu znajduje się zawsze pracownik uniwersytetu, który skanuje kod

QR wygenerowany przez aplikację. Tylko w ten sposób można wejść do budynku. Organizacja uniwersytetu IULM podczas tego trudnego dla wszystkich okresu jest godna podziwu.

Muszę przyznać, że egzaminy we Włoszech nie należą do najprzyjemniejszych, zwłaszcza egzaminy ustne. Główną cechą odróżniającą je od tych polskich jest fakt, że wszyscy studenci mogą uczestniczyć w egzaminach kolegów z kierunku. Nie jest to ogromnym problemem w auli, kiedy jest się skoncentrowanym na profesorze przed nami. Na Microsoft Teams ma się jednak czasem wrażenie, że inni przysłuchują się temu, co mówimy. Już na początku semestru stresowałam się na samą myśl o egzaminach. Bałam się utraty połączenia z internetem, bycia słuchaną przez innych studentów oraz bycia ocenianą z powodu mojego pochodzenia. Uniwersytet IULM oferuje wszystkim studentom darmową pomoc psychologiczną, więc nie wahałam się długo i umówiłam się na wizytę. Pani psycholog pomogła mi przezwyciężyć moje fobie, wytłumaczyła mi jak najlepiej przygotować się do egzaminów i dzięki niej przestałam myśleć o głównym czynniku stresogennym, czyli o mojej niedoskonałej znajomości języka włoskiego. Nigdy nie można bać się szukania pomocy, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi zdrowie psychiczne.

W ciągu kilku miesięcy z powodu pandemii Lombardia „zmieniła kolor” 16 razy. Przechodzi ze strefy żółtej, poprzez pomarańczową, aby ostatecznie znaleźć się w czerwonej (oznaczającej całkowity lockdown) i tak bez przerwy. W czerwonej strefie można spacerować tylko w najbliższym otoczeniu, a za każdym razem, kiedy chce się opuścić miejsce zamieszkania, należy wypełnić deklarację wskazującą powód i cel wyjścia. Rozumiem wszystkie działania podjęte przez rząd, ale sytuacja zaczęła ciążyć każdemu. Dlatego właśnie jestem bardzo wdzięczna za możliwość mieszkania w akademiku IULM oddalonym o kilka metrów od uniwersytetu. Zazwyczaj wszystkie pokoje są dwuosobowe, ale z powodu COVID-19 stały się jednoosobowe, więc oczywiście dużo wygodniejsze. Mieszka tu około 40 studentów, zarówno włoskich, jak i zagranicznych. Izolacja sprawiła, że osoby pochodzące z różnych części świata, w obliczu pandemii, zostały zmuszone

do spędzania czasu wewnątrz wspólnych pomieszczeń. Zaprzyjaźniliśmy się dużo szybciej, a zawarte relacje od razu stały się bardzo ważne. Wszyscy pochodzimy z różnych krajów, ale stworzyliśmy naprawdę silną więź, która wykracza poza kultury, z których pochodzimy, i języki, w których mówimy. Jestem przekonana, że nie nastąpiłoby to tak szybko i naturalnie, gdyby nie restrykcje rządowe. Staliśmy się rodziną. Mamy nasze tradycje, jak na przykład *movie night* w każdy piątek lub medytacja w ogrodzie akademika każdego dnia o godz. 10. Ponadto w każdy weekend organizujemy tak zwane *family dinners*, kiedy to zbieramy się i próbujemy tradycyjnych dań z naszych krajów. Do tej pory mieliśmy kolację hiszpańską, duńską, francuską, albańską oraz słowiańską (którą zorganizowałam ja razem z moimi przyjaciółmi z Bułgarii, Rosji i Ukrainy). Doceniam także rozmowy z każdym z osobna, na przykład podczas obiadów w naszej wspólnej kuchni. Czuję, że wzbogacamy się nawzajem. Jestem pewna, że gdyby nie Erasmus, nie miałabym możliwości nauczyć się tyle o innych kuchniach i kulturach i poznać tak wspaniałych osób. Na razie nie jestem sobie w stanie wyobrazić życia bez mojej wielokulturowej rodziny i nie chcę nawet myśleć o dniu, w którym będę musiała opuścić to miejsce.

Pomimo że bardzo doceniam możliwość nauki na uczelniach zagranicznych i widzę mój ogromny postęp, zarówno językowy, jak i związany z umiejętnością radzenia sobie w nowym środowisku, to, co doceniam najbardziej i co przyczyniło się do mojego największego rozwoju, to właśnie rozmowy z osobami pochodzącymi z różnych kultur. Moje spojrzenie na świat zmieniło się dzięki doświadczeniom w akademiku IULM. Jeżeli zdecydujecie się wyjechać na Erasmusa właśnie tam, co oczywiście wam polecam, radzę rozważyć zamieszkanie w akademiku przy Via Santander 5, który zawsze będzie zajmował szczególnie miejsce w moim sercu. Jestem jednak przekonana, że każda wymiana Erasmus, niezależnie od kraju i miasta, może dostarczyć wiele pięknych wspomnień, które pozostaną z wami na zawsze. Polecam każdemu bez wyjątków wykorzystanie tej niepowtarzalnej szansy, która zmienia życie.



Weronika Marzec

Erasmus ai tempi del COVID-19: si può fare!

Immaginatevi di potervi trasferire per sei mesi o per un intero anno in una realtà completamente diversa, staccarvi dalla quotidianità già troppo conosciuta, conoscere persone da paesi diversi, diventare un cittadino di un posto ignoto. Essendo uno studente universitario, questo è così facile da realiz-

zare, ma purtroppo relativamente poca gente si decide a farlo. Una delle cose più belle che le università offrono agli studenti è, infatti, la possibilità dello scambio studentesco Erasmus. Personalmente considero i miei due scambi, entrambi a Milano, le decisioni migliori della mia vita e il tempo meglio speso per lo svilup-

po personale.

Il mio primo Erasmus l'ho fatto presso l'Università Cattolica del Sacro Cuore nel 2019. Quella volta ho studiato all'estero solo per un semestre. Mi è piaciuto così tanto che nel settembre 2020 sono tornata nuovamente a Milano, ma questa volta per l'intero anno

accademico presso l'Università IULM. Fino all'ultimo momento non ero sicura di poter andare in Italia a causa della pandemia. Purtroppo, la situazione causata dal coronavirus non facilita lo studio e la vita, ma anche grazie a questo ho imparato ad apprezzare ancora di più ogni momento passato nella mia amata Milano.

Non mi koncentrerò sui vantaggi e svantaggi delle due università. Posso solo dire che, nel caso degli studenti d'italianistica, raccomando più la IULM per i futuri interpreti e appassionati della traduzione, mentre la Cattolica per gli umanisti interessati alla letteratura, alla storia e all'arte. Ma di sicuro ognuno troverà qualcosa per sé tra la scelta infinita dei corsi offerti da entrambe le università. Senza dubbio, tutti e due gli atenei presentano un livello molto alto e permettono lo sviluppo multidirezionale.

L'università IULM offre tanti percorsi di studi. Uno di questi è Interpretariato e comunicazione. Io, essendo una studentessa d'italianistica, seguo tutti gli insegnamenti proprio di questo corso di studi. La IULM si specializza in interpretazione simultanea e possiede tante cabine insonorizzate professionali per praticarla. Purtroppo, a causa della pandemia, non ho potuto fare questa esperienza come avrei voluto. La maggioranza dei corsi si svolge online, tramite la piattaforma Teams, incluse le lezioni di interpretazione simultanea. Però, non posso lamentarmi, perché mentre i miei compagni di gruppo a Łódź seguono i corsi esclusivamente online, io ho ancora la possibilità di andare qualche volta a lezione in presenza. Ogni volta devo prenotare un posto attraverso l'applicazione universitaria, affinché la quantità degli studenti in aula non ecceda la quantità dei posti disponibili, che ovviamente sono limitati rispetto alle condizioni normali. All'ingresso c'è sempre un addetto che scannerizza il codice QR generato dall'applicazione. Solo così si può entrare nell'edificio. L'organizzazione dell'università IULM, in questa situazione difficile per tutti, è ammirevole.

Devo ammettere che gli esami in Italia non

sono tra i più piacevoli, soprattutto quelli orali. La differenza principale con quelli polacchi è che tutti gli studenti possono assistere agli esami degli altri. Questo non è un problema così grave in aula, quando si è concentrati sul professore che è davanti a noi. Su Microsoft Teams, invece, a volte si ha l'impressione di essere ascoltati dagli altri. Già all'inizio del semestre mi saliva l'ansia solo a pensare agli esami. Avevo paura di perdere la connessione Internet, di essere ascoltata da tutti gli studenti e di essere giudicata perché sono straniera. L'università IULM offre gratuitamente agli studenti i servizi di uno psicologo, quindi non ho esitato troppo e ho prenotato un appuntamento. La psicologa mi ha aiutato a superare le mie fobie, mi ha spiegato come prepararmi bene per gli esami e grazie a lei ho smesso di pensare al fattore principale che causava lo stress, ovvero la non perfetta conoscenza della lingua italiana. Non bisogna mai avere paura di cercare aiuto, soprattutto se si tratta della salute mentale.

In giro di pochi mesi, a causa della pandemia, la Lombardia ha già "cambiato colore" 16 volte. Passa dalla zona gialla, alla arancione e infine alla rossa (che significa un lockdown totale), e così via. Nella zona rossa si possono fare le passeggiate solo nelle vicinanze e ogni volta che si vuole uscire di casa, bisogna compilare un'autodichiarazione dove si devono indicare lo scopo e la destinazione dell'uscita. Capisco tutte le misure adottate dal governo, ma la situazione è diventata molto pesante per tutti. Per questo sono più che grata di avere la possibilità di abitare al Residence IULM, la casa dello studente situata a pochi metri dall'università. Normalmente tutte le camere sono doppie, ma a causa del COVID-19 sono diventate singole, quindi ovviamente più comode. Ci abitano più o meno 40 studenti, sia italiani che stranieri. L'isolamento ha fatto sì che le persone provenienti da parti del mondo completamente diverse, di fronte alla pandemia, siano state costrette a passare il tempo insieme all'interno degli spazi comuni. Abbiamo stretto amicizie molto più velocemente e le relazioni sono diventate subito tanto importanti. Proveniamo tutti dai paesi diversi ma abbiamo

creato un collegamento molto forte che va oltre le culture da cui proveniamo e le lingue che parliamo. Sono convinta che questo non sarebbe avvenuto così velocemente e naturalmente se non ci fossero state le restrizioni governative. Siamo diventati proprio una famiglia. Abbiamo le nostre tradizioni, come il *movie night* ogni venerdì oppure la meditazione nel giardino del Residence ogni giorno alle 10. Inoltre, ogni fine settimana organizziamo le cosiddette *family dinners* dove ci riuniamo e mangiamo il cibo tradizionale dei nostri paesi. Finora abbiamo avuto una cena spagnola, danese, francese, albanese e slava (che ho organizzato io, insieme ai miei amici bulgari, russi e ucraini). Per di più, apprezzo molto le conversazioni scambiate con ogni singola persona: per esempio durante i pranzi nella cucina comune. Ho la sensazione che ci arricchiamo a vicenda. Sono sicura che se non fosse stato per l'Erasmus, non avrei mai avuto la possibilità di apprendere così tanto sulle cucine e culture diverse e di conoscere persone così meravigliose. Per ora, non riesco ad immaginarmi la vita senza la mia famiglia multiculturale e non voglio neanche pensare al giorno in cui dovrò lasciare questo posto.

Anche se stimo tanto la possibilità di studio presso le università straniere e vedo un progresso enorme, sia linguistico, sia per quanto concerne le mie capacità di agire nell'ambiente nuovo, quello che apprezzo di più e che mi ha sviluppato di più come persona sono proprio le conversazioni scambiate con persone provenienti da varie culture. Il mio sguardo al mondo è cambiato molto grazie all'esperienza vissuta al Residence della IULM. Se vi capiterà di fare il vostro Erasmus lì, cosa che ovviamente vi consiglio, vi raccomando tanto di considerare l'alloggio al Residence in Via Santander 5 che occuperà sempre un posto speciale nel mio cuore. Sono convinta però che ogni Erasmus, in qualsiasi paese, in qualsiasi città, possa fornire tanti ricordi belli che rimarranno con voi per sempre. Consiglio a tutti, senza eccezioni, di sfruttare questa opportunità unica che cambia la vita.

Sara Pucciani

Sekrety Pizy, czyli co warto zwiedzić?

Czy można być w tym samym miejscu, oglądać te same budynki tysiące razy i tak naprawdę ich nie znać?

Piza jest jednym z najciekawszych miast Toskanii. Jej historia jest długa i sięga starożytności. Związana jest z perłami architektury rzymskiej, wybitnymi postaciami, jak np. Galileusz, czy niezwykłymi odkryciami naukowymi. Myśląc o tym miejscu, z całą pewnością

wyobrażamy sobie Krzywą Wieżę, katedrę Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i bazylikę św. Piotra w Grado. Niestety bardzo często turyści nie potrafią wymienić innych atrakcji. Na mapie turystycznej znajdziemy jeszcze kilka ciekawych punktów jak Piazza dei Cavalieri czy Museo Nazionale di San Matteo. Szczególnym miejscem, które zapiera dech w piersiach, są też domy nad przepływającą Pizę

rzeką Arno. Bardzo często jednak zwiedzanie na tym się kończy. Miasto Krzywej Wieży jest jednak pełne atrakcji i skrywa wiele tajemnic, o których często nie wiedzą nawet Włosi.

Zwiedzanie powinno obowiązkowo rozpocząć się od Piazza dei Miracoli, gdzie można zobaczyć najsłynniejsze budowle architektury rzymskiej. Krzywa Wieża to jeden z najbardziej rozpoznawalnych symboli miasta, jak

i Włoch. Według legendy Galileusz przeprowadził na niej eksperyment, podczas którego rzucił z wieży dwie różne kule, aby dokonać pomiarów prędkości. Niewiele osób wie jednak, iż nie jest to jedyna krzywa wieża w tym niezwykłym mieście. W rzeczywistości w Pizie znajdują się aż trzy pochylone budowle. Pierwsza z nich jest częścią kościoła San Nicolò, a druga jest integralną częścią kościoła San Michele degli Scalzi. Z całą pewnością warto zobaczyć je na własne oczy chociażby ze względu na formę, którą różnią się od słynnej Krzywej Wieży. Następnym niezwykłym miejscem jest katedra Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny znajdująca się na Piazza dei Miracoli. Wyjątkowa budowla jest mieszanką różnych stylów. Zachwyca przede wszystkim jej wnętrze, w którym znajduje się ambona autorstwa Giovanniego Pisano, mozaika autorstwa Cimabue czy obraz Domenica Ghirlandaia. Niewiele osób jednak zna wszystkie tajemnice i legendy związane z katedrą. Do najciekawszych należy znajdująca się w centralnej części świątyni, Lampa Galileusza, która zwróciła uwagę

uczonego na oscylację ruchu naszej planety. Zwiedzając katedrę, z całą pewnością warto rozejrzeć się również za pewnym naczyniem, które według legendy zostało użyte podczas godów w Kanie Galilejskiej.

Wielu turystów po wyjściu z katedry udaje się do pobliskiego baptysterium, które jest następną popularną atrakcją. Część jednak, zmęczona zwiedzaniem, odpoczywa pod katedrą, nie zdając sobie nawet sprawy z kolejnej legendy powiązanej z tym miejscem. Kiedy obejdziemy ją dookoła, w niektórych miejscach dostrzeżemy małe wgłębienia. Niektórzy wierzą, iż są to ślady pozostawione przez szpony diabła. Poza katedrą można zwiedzić również cmentarz. Prawdziwi miłośnicy Pizy nie zakończą jednak zwiedzania wyłącznie na Piazza dei Miracoli, ale udadzą się nad rzekę Arno. To właśnie tutaj żółte, niebieskie czy pomarańczowe domy odbijają się w wodzie. Odnajdziemy tam również budowle, które są nieodłącznym elementem Pizy: Palazzo dei Medici czy Palazzo Toscanelli. Spoglądając na drugi brzeg rzeki, należy zwrócić uwagę na niewielką, ale zachwycającą budowlę, kościół Santa Maria della

Spina. Niestety gotycka świątynia bardzo często ginie wśród innych, o wiele większych budowli. Niknie również na tle słynnej Krzywej Wieży czy katedry. Powinna ona jednak przyciągać do siebie nie tylko miłośników sztuki, ale też legend, którymi owiane jest to niezwykle tokańskie miasto. Według jednej z nich we wnętrzu kościoła znajduje się cień z korony cierniowej Chrystusa. Stąd też pochodzi nazwa budowli.

Następnie warto zobaczyć Palazzo della Carovana, który pokryty jest niezwykłymi, alegorycznymi zdobieniami oraz znakami zodiaku. Warto zauważyć, że budowla jest jednym z dzieł Giorgia Vasariego. Będąc w Pizie, należy również zwiedzić jej obrzeża, na których znajdziemy bardzo stary, pochodzący z czasów medycejskich akwedukt. Wycieczkę można zakończyć obejrzeniem muralu *Tuttomondo*, który stworzył Keith Haring.

Piza jest interesującym tokańskim miastem, które na pewno warto zwiedzić. Podziwiając to miejsce, należy jednak zwrócić uwagę nie tylko na Krzywą Wieżę, ale też na inne atrakcje, także te mniej znane.



Sara Pucciani

I segreti di Pisa, ovvero cosa vale la pena visitare?

È possibile visitare lo stesso posto e vedere gli stessi edifici migliaia di volte senza conoscerli appieno?

Pisa è una delle città più interessanti della Toscana. La sua storia è lunga e risale all'antichità. È associata alle perle dell'architettura romanica, a persone eccezionali come Galileo Galilei e a scoperte scientifiche. Pensando a questo luogo, sicuramente ci vengono in mente la Torre Pendente, la cattedrale di Santa Maria Assunta e la basilica di San Pietro a Grado. Purtroppo, molto spesso i turisti non sanno enumerare altre attrazioni. Sulla mappa turistica troveremo anche la Piazza dei Cavalieri e il Museo Nazionale di San Matteo. Inoltre, anche le case sull'Arno, che attraversa Pisa, sono un luogo particolare e mozzafiato. Purtroppo, molto spesso il viaggio termina lì. Tuttavia, la città della Torre Pendente è piena di attrazioni e nasconde molti segreti che spesso non sono conosciuti nemmeno dagli italiani.

Il viaggio dovrebbe iniziare da Piazza dei Miracoli per vedere gli edifici più famosi dell'architettura romanica. La Torre Pendente è uno dei simboli più riconoscibili della città e dell'Italia. Secondo la leggenda, Galileo Galilei condusse un esperimento in cima ad essa, durante il quale lasciò cadere due diverse palle dalla torre per misurare la velocità. Tuttavia, non tutti sanno che la Torre Pendente non è l'unica torre a pendere in questa meravigliosa città. In effetti, ce ne sono altre due. La prima fa parte della

Chiesa di San Nicolò, mentre la seconda della chiesa di San Michele degli Scalzi, che vale la pena visitare per la sua forma diversa dalla Torre di Pisa. Un altro luogo particolare è la cattedrale di Santa Maria Assunta (conosciuta anche come Duomo di Pisa) situata in Piazza dei Miracoli. La sua struttura è una mescolanza di stili diversi. Colpisce soprattutto per il suo interno, che comprende un pergamino di Giovanni Pisano, un mosaico di Cimabue e un dipinto di Domenico Ghirlandaio. Purtroppo, non tutte le persone conoscono tutti i segreti e le leggende associati alla Cattedrale. Una delle più interessanti riguarda la Lampada di Galileo Galilei, situata nella parte centrale della cattedrale, la cui oscillazione gli permise di formulare la legge del pendolo. Visitando il Duomo, vale la pena cercare anche un'anfora posta su una colonna. Secondo la leggenda è stata usata durante le nozze di Cana.

I turisti, dopo aver visto la cattedrale, di solito visitano il battistero, che è un'altra attrazione molto popolare. Alcuni, dopo aver visto la città, riposano sotto la cattedrale non conoscendo un'altra leggenda associata a questo luogo. Camminando intorno a essa, sul muro vedremo dei piccoli buchi. Alcuni credono che siano le tracce lasciate dal diavolo. Inoltre, vale la pena visitare anche il Camposanto. Tuttavia, i veri amanti di Pisa non termineranno il loro viaggio in Piazza dei Miracoli, ma andranno a vedere l'Arno. È qui dove le case gialle, blu e arancione

ni si riflettono nell'acqua. Li troveremo anche gli edifici che sono un elemento indispensabile di Pisa: il Palazzo dei Medici o il Palazzo Toscanelli. Guardando dall'altra parte del fiume, dobbiamo prestare attenzione a una struttura piccola ma straordinaria: la Chiesa di Santa Maria della Spina. Purtroppo, l'edificio gotico molto spesso rimane nascosto dalle case molto più grandi. Scompare anche sullo sfondo della famosa Torre Pendente e cattedrale. Essa dovrebbe comunque attirare non solo coloro che si appassionano all'arte, ma anche alle leggende che circolano in questa straordinaria città toscana. Secondo una di esse, all'interno della chiesa si trova una spina dalla corona di Cristo, da cui l'edificio prende il nome.

Inoltre, possiamo visitare anche il Palazzo della Carovana, che è coperto da varie decorazioni allegoriche e segni zodiacali. Vale la pena notare che l'edificio è una delle opere di Giorgio Vasari. Per di più, mentre stiamo a Pisa, dobbiamo visitare anche la sua periferia, dove troveremo un acquedotto di epoca medicea. Possiamo finire il viaggio vedendo il murale *Tuttomondo* creato da Keith Haring.

Pisa è una città toscana molto interessante che vale la pena visitare. Ammirando questo posto, bisogna prestare attenzione non solo alla Torre Pendente, ma anche ad altre attrazioni, specialmente quelle meno conosciute.

Wydawnictwo Czarne powstało w 1996 roku i jest prywatną, niezależną oficyną wydawniczą. Specjalizuje się w literaturze faktu, eseistyce oraz polskiej i światowej prozie. W obszarze największych zainteresowań wydawnictwa znajduje się współczesny reportaż w jego rozmaitych odsłonach tematycznych i gatunkowych, literatura podróżnicza, dokumentalna, biografie i książki historyczne. Wydawaną literaturę przedstawia w kilku rozpoznawalnych i różnorodnych seriach. Więcej informacji o wydawnictwie można znaleźć na stronie czarne.com.pl.

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego drukuje rocznie ponad 300 tytułów, co lokuje je na jednym z czołowych miejsc wśród oficyn uczelnianych w kraju. Publikuje literaturę naukową i dydaktyczną. Profil wydawnictwa obejmuje podstawowe dyscypliny naukowe oraz problematykę interdyscyplinarną. Znaczną część stanowią opracowania monograficzne i rozprawy habilitacyjne. Ponadto wydawnictwo wydaje podręczniki dla studentów oraz czasopisma. Zapraszamy na www.wydawnictwo.uni.lodz.pl.

Vanda Asipenka

Simonetta Vespucci: renesansowa top modelka

Cóż za wielka ironia życia: kiedy wymawiam jej imię, nieliczni są ci, którzy je znają. Natomiast kiedy mówię o Wenus Sandra Botticellego, wszyscy przypominają sobie morze złotych loków i tę przepiękną kobiecą twarz z wysokim czołem, cienkimi brwiami, dalekim i smutnym, ale jednocześnie nadwrażliwym spojrzeniem. Tak, to właśnie ona rodzi się z piany morskiej i stoi w muszli. Jest również radosną Florą, która oczekuje Wiosny. Ona jest Kleopatą Piera di Cosimo i piękną nimfą Angelo Poliziana. Anioł Florencji. Nazywa się Simonetta Vespucci.

Rozumiejąc jej ogromną, choć i drugorzędną rolę w rozwoju idei i kanonów renesansu, absurdalne jest, by wiedzieć tak mało o postaci takiego formatu. Z wielkimi trudnościami odkryto, że urodziła się w 1453 roku w Genui albo w Porto Venere w rodzinie Gaspara Cattanea – bogatego kupca. W wieku 15 lat poznała w kościele swojego przyszłego męża, Marca Vespucciego (krewnego Ameriga Vespucciego). Po ślubie młoda para zamieszkała we Florencji.

Miasto to było wówczas centrum złotego wieku epoki renesansu. We Florencji roiło się od genialnych ludzi: wydawało się, że każdy mieszkaniec był pisarzem, malarzem lub wybitnym poetą – nie było nikogo, kto by nie przeszedł przez progi szkoły florenckiej. Wielcy Medyceusze rządili miastem: pieniądze nie szły zatem do kieszeni miernoty, lecz były ofiarowane tym, którzy tworzyli nieśmiertelne dzieła, które my podziwiamy do dziś. Jednak miastu brakowało miłości – muzy, uwielbianej przez wszystkich bogini ziemskiej, ideału czystego piękna. Cóż, sam los przeznaczył Simonette tę rolę.

Spotkawszy dziewczynę na przyjęciu, Wawrzyniec Wspaniały i Julian Medyceusz byli absolutnie zachwyceni jej urokiem. Julian od razu nazwał ją swoją damą serca. Jednak

mimo tak poważnych słów i późniejszych licznych domysłów odnośnie do ich stosunków, nie należy oskarżać Simonetty o niewierność małżeńską i należy traktować jej związek z Julianem raczej jako miłość platoniczną, która stanowiła część konwenansu. Zakochanie okazywano publicznie, stan zakochania był w tej epoce jednym z symboli kultury dworskiej.

W każdym razie nadszedł turniej wspaniałego Juliana Medyceusza – turniej odbywający się na placu Santa Croce w 1475 r. Jednym z jego uczestników był Julian Medyceusz, który obiecał poświęcić swoje zwycięstwo Simonette. Przedstawiał wszystkim jej portret podpisany jako *La sans pareille* (z francuskiego: 'niezrównana'), namalowany przez Sandra Botticellego. W tym dniu Julian wygrał i Simonetta została królową turnieju. Jednak najważniejszym wydarzeniem tego dnia był fakt, że właśnie wtedy narodziła się prawdziwa Wenus... Żeby zniknąć u szczytu swojego rozkwitu.

Niestety poziom higieny w XV wieku wciąż pozostawał bardzo niski: Simonetta zachorowała na suchoty lub dżumę i zmarła rok po turnieju. Można by

było powiedzieć, że tu historia się zakończyła: miasto straciło swój skarb i nic nie mogło go przywrócić. Udałoby się jej dokonać jeszcze tylu rzeczy! Jakże niesprawiedliwy bywa świat! Jednak wszystko miało dopiero się zacząć.

Śmierć „Jasnej gwiazdy”, jak w czasie jej pogrzebu nazwał ją Wawrzyniec Wspaniały, zrobiła ogromne wrażenie na kluczowych postaciach Renesansu. Jej wizerunek pojawiał się w każdym dziele, zarówno literackim, jak i artystycznym. *La sans pareille* zmartwychwstała jako przepiękna nimfa w *Strofach na turniej wspaniałego Juliana Medyceusza*, w poemacie Angelo Poliziano i jako Kleopatra na



Crete senesi (aut. Giulio Burroni)

obrazie Piera di Cosimo.

Jest oczywiste, że najbardziej Simonettą Vespucci fascynował się Sandro Botticelli. Najprawdopodobniej młoda kobieta nigdy mu nie pozowała; co więcej, wåtpliwe jest nawet, czy rozmawiali ze sobą choćby raz. Wszystkie portrety artysta malował z pamięci przez 15 kolejnych lat od śmierci swojej muzy. Jego ostatnią wolą był zaś pochówek u stóp swojej bogini.

Nawet jeżeli prawdziwe imię pięknej pani jest słabo pamiętane, dzięki Sandrowi Botticelliemu dzisiaj anioł Florencji posiada ich mnóstwo i one wszystkie są żywe w naszych umysłach: Wiosna, Wenus, Atena, Madonna, Flora, tańcząca Gracja – ona jest wszędzie.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Simo-

netta Vespucci złączyła sztukę złotego wieku w absolutnej harmonii. Poliziano, Botticelli, Ficino, di Cosimo, Lorenzo zostali mistrzami wywyższania idealnego piękna Simonetty. *Narodziny Wenus* Botticellego odzwierciedlają wiersze Poliziana, które ze swojej strony czerpią inspirację z *Teogonii* Hezjoda, z wierszy Owidiusza i z dzieł Homera, opisującego narodziny Afrodyty, bogini urody. Artyści florency dążyli do ucieleśnienia *Wenus-Humanitas*, najwyższego piękna stanowiącego połączenie materii i ducha, natury oraz idei.

Porównując Simonettę Vespucci ze współczesnymi słynnymi kobietami, byłyby ona prawdopodobnie równa Marilyn Monroe. Prawdziwa ikona epoki, jasna gwiazda stała się symbolem zwycięskiej i wiecznej młodości. Je-

żeli Renesans miałby duszę oraz twarz, to na pewno należałyby one do Simonetty Vespucci.

Bibliografia:

- <https://www.dailyartmagazine.com/simonetta-vespucci-top-model-renaissance/>
- <https://womennart.com/2019/09/11/who-was-simonetta-vespucci/>
- <https://liminamundi.wordpress.com/2016/03/30/muore-giovane-chi-e-caro-agli-dei-la-storia-damore-di-simonetta-e-giuliano/>
- <https://niezlasztuka.net/o-sztuce/simonetta-vespucci-muza-botticellego/>
- https://it.wikipedia.org/wiki/Simonetta_Vespucci

Vanda Asipenka

Simonetta Vespucci: top model del Rinascimento

Che grande ironia della vita: quando pronuncio il suo nome, pochissimi sono quelli che lo conoscono. Invece, quando parlo della Venere di Sandro Botticelli, tutti si ricordano del mare di boccoli d'oro e di quella bellissima faccia femminile dalla fronte alta, con le sopracciglia sottili, e uno sguardo lontano e triste, ma allo stesso tempo ipersensibile. Sì, è proprio lei a nascere dalla schiuma marina su una conchiglia. È lei la Flora gioiosa che attende la Primavera. È lei la Cleopatra di Piero di Cosimo e la bellissima ninfa di Angelo Poliziano. È lei l'angelo di Firenze. Il suo nome è Simonetta Vespucci.

Nonostante le sia riconosciuto un enorme, seppure secondario, ruolo nello sviluppo delle idee e dei canoni condivisi dal Rinascimento, è ridicolo che ad oggi si sappia così poco su un personaggio di tale spessore. Con parecchie difficoltà fu scoperto che Simonetta Vespucci nacque nel 1453 a Genova, oppure a Porto Venere, nella famiglia di Gaspare Cattaneo, un ricco commerciante. All'età di 15 anni, in una chiesa, conobbe il suo futuro marito, Marco Vespucci (parente di Amerigo Vespucci). Dopo il matrimonio, la giovane coppia si trasferì a Firenze.

All'epoca la città era il centro del secolo d'oro del Rinascimento. Firenze ribolliva di gente geniale: sembrava che tutti fossero scrittori, pittori, oppure poeti eminenti – non esisteva nessuno che non avesse varcato la soglia della scuola fiorentina. I grandi de' Medici governavano la città: i soldi, quindi, non andavano nelle tasche dei mediocri, ma venivano dati a quelli che creavano le opere immortali, ovvero quelli sotto il cui fascino siamo rimasti fino ad oggi. Ciò che alla città mancava era l'amore – la musa adorata da tutti, la dea in terra, l'ideale puro di bellezza. È in tali circostanze che il destino as-

segnò proprio a Simonetta quel ruolo.

Quando incontrarono la ragazza ad una festa, Lorenzo e Giuliano de' Medici rimasero immediatamente affascinati dalla sua magnificenza. Giuliano la nominò subito come la sua dama di cuore. Tuttavia, nonostante queste parole così serie e le numerose chiacchiere sulla loro relazione, non bisogna accusare Simonetta di infedeltà coniugale, ma piuttosto vedere il loro rapporto come un amore platonico che si atteneva alle convenzioni di allora. L'innamoramento, infatti, andava esibito al pubblico ed essere innamorati era un simbolo della cultura di corte.

In ogni caso, nel 1475 ebbe luogo il Torneo di Giuliano: un torneo cavalleresco organizzato in piazza Santa Croce, dove fra i partecipanti c'era anche Giuliano de' Medici, il quale aveva promesso di dedicare la sua vittoria proprio a Simonetta. È in quell'occasione Giuliano che sfoggiò a tutti gli spettatori il suo ritratto con l'iscrizione *La sans pareille* (in francese: 'la senza paragoni'), dipinto da Sandro Botticelli. Quel giorno Giuliano vinse e Simonetta diventò la regina del torneo. Ma il vero evento di quel giorno fu che proprio in quell'occasione nacque la vera e propria Venere, per poi sparire nel momento più intenso della sua fioritura.

Sfortunatamente, il livello generale di igiene nel Quattrocento era molto basso: Simonetta si infettò di tisi, oppure di peste, e morì un anno dopo quel torneo. Si potrebbe dire che la sua storia sia finita qui: la città perse il suo tesoro e niente glielo avrebbe potuto ridare anche se lei sarebbe riuscita a fare tante cose ancora. Quanto ingiusto è il mondo! Sorprendentemente, però, proprio in quel momento tutto ricominciò.

La morte della "Chiara stella", come la chiamò Lorenzo de' Medici al funerale, fece un'im-

mensa impressione sulle figure chiave del Rinascimento. La sua immagine iniziò ad apparire quasi in ogni opera, sia letteraria che artistica. *La sans pareille* risuscitò, proprio come fece la bellissima ninfa nelle *Stanze per la Giostra di Giuliano de' Medici*, il poemetto di Angelo Poliziano, e come Cleopatra nella tela di Piero di Cosimo.

È evidente che l'artista più appassionato di Simonetta Vespucci fu Sandro Botticelli, anche se molto probabilmente la giovane donna non avesse mai posato per lui; per di più, si pensa che i due addirittura non si siano mai parlati nemmeno una volta. Tutti i suoi ritratti, l'artista li disegnò usando la sua memoria per i 15 anni successivi alla morte della sua musa. La sua ultima volontà fu quella di essere seppellito ai piedi della sua dea.

Anche se il vero nome della bella donna è ricordato male, grazie a Sandro Botticelli, l'angelo di Firenze ora ne ha moltissimi e tutti viventi nella nostra mente: Primavera, Venere, Pallade, Madonna, Flora, Grazia danzante. Lei è dappertutto.

Senza rendersene conto, Simonetta Vespucci ha unito l'arte del secolo d'oro in un'armonia assoluta. Poliziano, Botticelli, Ficino, di Cosimo, Lorenzo diventarono i maestri della venerazione della bellezza ideale di Simonetta. *La Nascita di Venere* di Botticelli illustra i versi di Poliziano che, a loro volta, traggono ispirazione dalla *Teogonia* di Esiodo, dai versi di Ovidio e dalle opere di Omero che descrivono la nascita di Afrodite, la dea della bellezza. Gli artisti fiorentini cercavano di incarnare la *Venere-Humanitas*, la bellezza suprema che è il risultato dell'unione tra la materia e lo spirito, tra la natura e l'idea.

Se si comparasse Simonetta Vespucci con

le celebri donne contemporanee, si potrebbe dire che sia uguale forse alla figura di Marilyn Monroe. Una vera e propria icona dell'epoca, la chiara stella che diventò emblema di giovinezza vittoriosa ed eterna. Se il Rinascimento avesse un'anima e un volto, sarebbero sicuramente quelli di Simonetta Vespucci.

Bibliografia:

- <https://www.dailyartmagazine.com/simonetta-vespucci-top-model-renaissance/>
- <https://womennart.com/2019/09/11/who-was-simonetta-vespucci/>
- <https://liminamundi.wordpress.com/2016/03/30/muore-giovane-chi-e->

caro-agli-dei-la-storia-damore-di-simonetta-egiuliano/

- <https://niezlasztuka.net/o-sztuce/simonetta-vespucci-muza-botticellego/>
- https://it.wikipedia.org/wiki/Simonetta_Vespucci

Alessio Cioli

Czas wyjazdów i czas powrotów: krótka historia nauczyciela języka włoskiego

Tłumaczenie: Dominika Kobylska

*Wszystko ma swój czas,
i jest wyznaczona godzina
na wszystkie sprawy pod niebem:*

*Jest czas rodzenia i czas umierania,
czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzono,
czas zabijania i czas leczenia,
czas burzenia i czas budowania,
czas płaczu i czas śmiechu,
czas zawodzenia i czas płasów.
Księga Koheleta 3: 1-4*

W 2015 roku nie wiedziałem, że zostanę nauczycielem włoskiego, a właściwie nie miałem nawet pojęcia, że na świecie jest tylu pasjonatów tego języka. Oprócz jednego semestru spędzonego na Erasmusie w Niemczech nawet za bardzo nie podróżowałem za granicę. A jednak, na przełomie lipca i sierpnia tamtego roku znalazłem się niemal przez przypadek w Belgii, by rozpocząć studia magisterskie na amerykańistyce na Uniwersytecie Gandawskim.

2015 był rokiem na swój sposób niezapomnianym – bolesnym, ale niezapomnianym. Ukończyłem już studia z filozofii na Uniwersytecie w Pizie w listopadzie 2013, ale półtora roku później byłem nadal bezrobotny. Prawda jest taka, że nie mogłem odnaleźć swojej drogi po studiach; wiedziałem, że lubię studiować i że posiadam dość szeroką wiedzę, z tego powodu myślałem, że moim przeznaczeniem jest pójść na doktorat. W praktyce absolutnie nie dojrzałem do badań naukowych.

I tak, pod koniec lata 2015 roku wyjechałem. Zdecydowałem się na amerykańistykę dzięki studiom z etyki stosowanej z obszaru filozofii moralnej, szczególnie rozwiniętego w Stanach Zjednoczonych. Gdzieś w głębi duszy tak naprawdę wiedziałem, że straciłem zainteresowanie wybranym kierunkiem, jednak w desperacji, nie wiedząc, co robić, z obawy, że znajduję się na drodze bez wyjścia, chwyciłem się tego programu studiów w nadziei, że pomoże mi on nareszcie znaleźć pracę i moje miejsce w społeczeństwie. To pragnienie spełniło się, ale nie w taki sposób, jak to sobie wyobrażałem.

Z racjonalnego punktu widzenia nie mogę powiedzieć, że wierzę w przeznaczenie; to, co

nam się przytrafia, jest wynikiem przypadku lub naszych wyborów. Ale muszę przyznać, że wszystko w moim życiu od tamtej pory zdawało się iść po wcześniej wytyczonych torach. I tak na przykład sześć miesięcy po przyjeździe do Belgii otrzymałem wysokie stypendium naukowe dla studentów z Toskanii realizujących wymiany międzynarodowe, dzięki któremu mogłem opłacić większość wydatków podczas mojego pierwszego roku za granicą.

Lato 2016 przyniosło mi moją obecną pracę nauczyciela języka włoskiego. Wszystko zaczęło się dzięki kursowi tanga argentyńskiego, ale to zbyt osobista historia, bym mógł ją opowiedzieć. Powiem tylko, że w lipcu 2016 poznałem Vincenza, przyjaciela i kolegę z pracy, który dał mi znać o wolnej posadzie w szkole wieczorowej, w której pracował. Pojawiłem się na rozmowie kwalifikacyjnej i od razu mnie przyjęto. To, że mogłem zostać tym, kim jestem dzisiaj, zawdzięczam więc bezinteresownemu okazaniu mi zaufania i docenieniu.

Od razu zdałem sobie sprawę, że nie tylko znalazłem pracę, ale także prawdziwą pasję. Zorientowałem się, jak słabo znałem swój kraj i, z drugiej strony, jak wielkim uwielbieniem Włochy cieszą się poza swoimi granicami, chociaż włoski jest językiem raczej mało znanym na świecie. To dziwne, ale kiedy mieszka się tam, gdzie się urodziło, wszystko wydaje nam się oczywiste i często nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, kim jesteśmy. Dlatego nauczanie włoskiego w Belgii było dla mnie podróżą w poszukiwaniu samego siebie – mojej włoskiej tożsamości.

Pierwsze lata spędziłem na pochłanianiu książek o historii Włoch, historii sztuki oraz

tradycyjnej kuchni – mieszkając w pojedynkę, odkryłem w sobie talent kucharza. Wszelkimi bodźcami, wiedzą i entuzjazmem, które zbierałem z czasem, zawsze starałem się dzielić z moimi dorosłymi uczniami z kursów wieczorowych. Przez cztery lata nauczania poznałem ich dziesiątki; kontakt z tyloma osobami był dla mnie cenną szkołą życia, dzięki której nauczyłem się rozpoznawać ludzkie charakter, rozwiązywać nieuniknione konflikty i być bardziej asertywnym. Poza tym podróżując po Włoszech i Europie, poznałem małą globalną społeczność nauczycieli włoskiego jako języka obcego i z wieloma z nich nawiązałem trwałe przyjaźnie.

Jednak w 2018 roku zacząłem dostrzegać pewne niedogodności w swojej pozycji pośród belgijskiego społeczeństwa. Po pierwsze nigdy nie było łatwo znaleźć wystarczająco dużo zajęć z języka włoskiego w szkołach wieczorowych. Moje koleżanki z pracy brały większość godzin, podczas gdy ja musiałem zadowalać się tym, co zostawało, lub łączyć zlecenia z różnych szkół. Pod koniec 2019 roku zacząłem uczyć także angielskiego – dzięki ukończonym studiom z amerykańistyki – i w ten sposób udało mi się pracować w przyzwoitym przedziale czasowym i znaleźć etat w szkole państwowej.

Po drugie moja sytuacja stała się bardziej skomplikowana także ze społecznego i ogólnie emocjonalnego punktu widzenia. Ucząc wieczorami, miałem mniej okazji, by uczestniczyć w różnych wydarzeniach i korzystać z wolnego czasu: kiedy większość ludzi wychodziła z pracy, ja wsiadałem do pociągu i jechałem zacytować swoją. Poza tym z żadnym z Flamandczyków nie udało mi się nawiązać bliższej relacji,

mimo że znam język niderlandzki. Już w 2019 roku moje bliskie kontakty ograniczyły się do grupy przyjezdnych Włochów, takich jak ja. Krótko mówiąc, po pięciu latach byłem bardziej obcy, niż wtedy, kiedy przyjechałem.

Mimo wszystko w 2020 roku myślałem, że zostanę w Belgii jeszcze przez kilka lat. W lato wróciłem do Włoch i, przyznając, po czterech miesiącach kwarantanny, nabrałem ochoty, by tam zostać. Nawiązałem już kontakt z różnymi szkołami w sprawie roku szkolnego 2020/2021 i miałem nadzieję, że po pandemii będę miał szansę na dobrą pracę, jednak w sierpniu znowu wyjechałem.

Wreszcie wydarzenia zdecydowały za mnie. Na początku jesieni 2020 roku zdałem sobie sprawę, że za mój pobyt w Belgii płaciłem zbyt wysoką cenę; z materialnego punktu widzenia wszystko grało, jednak jakość mojego życia znacznie spadła, a stres w pracy osiągnął

toksyczne stężenie. „Nic już cię nie łączy z tymi miejscami”, mówił Paolo Conte, i tak w zaledwie dwa tygodnie ja i moja rodzina skontaktowaliśmy się ze specjalną firmą i zorganizowaliśmy przeprowadzkę międzynarodową. W tym czasie Belgia była w trakcie przechodzenia drugiej fali, a ofiary covidu liczone w setkach. 4 listopada byłem już w Toskanii, wróciłem na dobre.

Dzisiaj, zaledwie dwa miesiące po powrocie, ponownie podjąłem pracę na pełen etat jako nauczyciel w szkole średniej. Także tę możliwość traktuję jak uśmiech losu; to, że znowu jestem aktywny, zawdzięczam Nadii, mojej koleżance z liceum, która odnalazła mnie kilka lat temu. Jej mama Patrizia, nauczycielka z zawodu, namówiła mnie do zapisania się do rejonowego spisu nauczycieli rezerwowych, kiedy widzieliśmy się ostatnio w sierpniu w Pizie. Chwilę przed wyjazdem do Belgii, prawie w momencie zamknięcia zapisów, zarejestrowałem się i w ten sposób wszedłem do włoskie-

go systemu szkolnictwa. W styczniu nadeszła szansa, na którą czekałem z nadzieją.

Podsumowując, co pozostało mi z tych pięciu lat spędzonych za granicą? Prawdę mówiąc, dużo. Wierzę, że to ważne, by w młodości oddalić się od rodzinnych miejsc; tylko spędzając dużo czasu w samotności, można poznać samego siebie i odkryć, co nam się podoba, stawiać czoła trudnościom, nauczyć się cierpieć, pracować z pasją i wytrwałością, angażować się w projekty, rozwijać własne talenty, zrozumieć, przy jakich osobach czujemy się dobrze, nawiązywać pozytywne relacje, nauczyć się mówić „nie”, kiedy jest to potrzebne: stworzyć swoją tożsamość i czuć się spełnionym.

Na wszystko jednak przychodzi czas. W pewnym momencie poczułem, że nie mogę kontynuować swojej wędrówki daleko od miejsc i ludzi, wśród których się urodziłem. Wykorzystałem wszystkie szanse, które dała mi Belgia, co oznaczało, że czas już wracać. Tak zrobiłem i nie żałuję.



Alessio Cioli

Il tempo di partire e il tempo di tornare: breve storia di un insegnante di italiano

*Tutto ha il suo momento, e ogni evento ha il suo tempo sotto il cielo.
 C'è un tempo per nascere e un tempo per morire,
 un tempo per piantare e un tempo per sradicare quel che si è piantato.*

*Un tempo per uccidere e un tempo per curare,
 un tempo per demolire e un tempo per costruire.*

*Un tempo per piangere e un tempo per ridere,
 un tempo per fare lutto e un tempo per danzare.*

Qoélet 3:1-4

Nel 2015 non sapevo che sarei diventato un insegnante di italiano, anzi, non avevo neppure idea che nel mondo ci fossero tanti appassionati della lingua italiana. Fatta eccezione di un semestre Erasmus in Germania, non avevo granché viaggiato all'estero. Eppure, fra la fine di luglio e l'inizio di agosto di quell'anno, mi ritrovai quasi per caso in Belgio, per frequentare il Master di Studi Americani dell'Università di Gent.

Il 2015 fu un anno a suo modo memorabile: doloroso, ma memorabile. Mi ero laureato già a novembre 2013 in Filosofia presso l'Università di Pisa, ma dopo un anno e mezzo ero ancora disoccupato. La verità era che non riuscivo a trovare la mia strada dopo gli studi; sapevo che mi piaceva studiare e che mi ero fatto una cultura generale piuttosto ampia, e per questo pensavo che il mio destino fosse diventare uno studente di dottorato. In realtà non ero assolutamente maturo per la ricerca.

Così, alla fine dell'estate 2015 partii. Avevo preso la via degli studi americani grazie agli studi di Etica Applicata, un ambito della filosofia morale particolarmente sviluppato negli Stati

Uniti. Dentro di me, in verità, sapevo che avevo perso interesse per l'americanistica; però, nella disperazione di non sapere cosa fare, oppresso dal sentimento di essere finito in una via senza uscita, mi ero aggrappato a questo programma di studio nella speranza che mi portasse, finalmente, un lavoro e un posto nella società. Questo desiderio sarebbe stato esaudito, ma non nel modo che immaginavo.

Razionalmente, non posso dire di credere nel destino; ciò che ci capita è frutto del caso e delle nostre scelte. Ma devo ammettere che tutto nella mia vita, da quel tempo, è sembrato muoversi lungo dei binari prestabiliti. Intanto, sei mesi dopo essere arrivato in Belgio ricevevo una sostanziosa borsa di studio per studenti toscani in mobilità con cui potei pagare gran parte delle spese del mio primo anno all'estero.

L'estate 2016, poi, mi portò in dote il mio lavoro di insegnante di italiano. Tutto ebbe inizio grazie a un corso di tango argentino, ma questa è una storia troppo privata per essere raccontata. Dirò solo che a luglio 2016 conobbi Vincenzo, amico e collega, che mi avvisò di un posto libero nella scuola serale dove lavorava. Mi

presentai al colloquio e fui subito preso. Se sono potuto diventare quello che sono oggi, dunque, lo devo al gesto gratuito di fiducia e di stima.

Mi resi subito conto che non avevo solo trovato un lavoro, ma una vera e propria passione. Mi accorsi di quanto poco conoscessi il mio paese e, d'altra parte, di quanto amore godesse l'Italia fuori dei confini internazionali, nonostante l'italiano sia una lingua piuttosto "piccola" nel mondo. È strano, ma quando si abita dove si è nati diamo per scontato ciò che siamo e spesso non ce ne accorgiamo neppure. Insegnare l'italiano in Belgio, perciò, è stato per me un viaggio alla scoperta di me stesso: della mia identità di italiano.

Ho passato i primi anni a divorare libri su libri di storia italiana, di storia dell'arte e di cucina tradizionale – vivendo da solo, sono anche diventato un discreto cuoco. Gli stimoli, le conoscenze e l'entusiasmo che andavo raccogliendo ho sempre cercato di condividere con i miei studenti adulti dei corsi serali. Ne ho conosciuti a decine in quattro anni d'insegnamento; venire a contatto con tanta gente è stata per me una preziosa palestra di vita, in cui ho imparato

a riconoscere il carattere delle persone, a gestire gli inevitabili conflitti e a essere più assertivo. Inoltre, viaggiando in Italia e in Europa, ho conosciuto la piccola società mondiale degli insegna-nti di italiano LS, con molti dei quali ho stretto un duraturo rapporto di amicizia.

Però, già nel 2018 cominciai ad accorgermi di alcuni svantaggi della mia posizione nella società belga. In primo luogo, non era mai facile trovare abbastanza ore d'italiano nelle scuole serali; essendo l'ultimo arrivato, le mie colleghe di ruolo prendevano la maggior parte delle ore, mentre io dovevo accontentarmi di quello che rimaneva o combinare più incarichi in scuole diverse. Alla fine del 2019 cominciai anche a insegnare inglese – grazie al Master di Studi Americani – in modo da avere un orario decente e trovare opportunità nella scuola dell'obbligo.

In secondo luogo, la mia situazione era diventata più complicata anche dal punto di vista sociale e affettivo in generale. Insegnando di sera, più lavoravo meno opportunità avevo per partecipare a eventi e momenti di svago: quando la maggior parte della gente usciva dal lavoro, io prendevo il treno per andare a lavorare. Inoltre, con i fiamminghi non ero riuscito a sviluppare nessun contatto veramente importante, nonostante la mia conoscenza della lingua nederlandese. Nel 2019, ormai, le mie buone amicizie erano contenute in un ristretto

gruppo di italiani espatriati come me. Insomma, dopo cinque anni ero più straniero di quando ero arrivato.

Nonostante tutto, nel 2020 pensavo che sarei rimasto in Belgio ancora qualche anno. In estate ero tornato in Italia e, dopo quattro mesi di quarantena, avrei avuto voglia di rimanere, lo confesso. Però avevo già preso contatti con diverse scuole per l'anno scolastico 2020-2021 e speravo che dopo la pandemia avrei avuto delle buone opportunità lavorative; ad agosto, perciò, ripartii.

Alla fine, però, gli eventi hanno deciso per me. All'inizio dell'autunno 2020 mi sono reso conto che per la mia permanenza in Belgio stavo pagando un prezzo troppo alto; se da un punto di vista materiale il mio bilancio era a posto, la qualità della mia vita era notevolmente peggiorata e lo stress sul posto di lavoro era schizzato a livelli tossici. "Niente più ti lega a questi luoghi", diceva Paolo Conte e così, in appena due settimane, io e la mia famiglia abbiamo contattato una ditta specializzata e organizzato il trasloco internazionale. Intanto, il Belgio si trovava nel pieno della seconda ondata e le vittime di covid si contavano a centinaia. Il 4 novembre ero in Toscana, tornato per restare.

Oggi, ad appena due mesi dal mio ritorno, ho già ripreso a lavorare a tempo pieno come insegnante in una scuola superiore. Anche in questo caso mi sembra di vedere lo zampino

del destino; se sono di nuovo attivo lo devo a Nadia, una mia compagna di liceo che mi ha ritrovato qualche anno fa. Sua madre Patrizia, di professione insegnante, mi ha esortato a iscrivermi alle graduatorie provinciali per le supplenze quando ci siamo visti lo scorso agosto, a Pisa. Poco prima di ripartire per il Belgio, quasi alla chiusura delle iscrizioni, ho fatto domanda e sono entrato nel sistema scolastico italiano. A gennaio è arrivata l'opportunità in cui speravo.

In conclusione, che cosa mi è rimasto dei cinque anni passati all'estero? Moltissimo, in verità. Credo che sia necessario, nella gioventù, allontanarsi dai luoghi familiari; solo passando molto tempo con sé stessi è possibile arrivare a conoscersi per ciò che siamo, capire cosa ci piace, affrontare le difficoltà, imparare a soffrire, lavorare con passione e tenacia, sviluppare progetti, coltivare i propri talenti, capire quali persone ci fanno stare bene, interessare relazioni positive, saper dire no quando necessario: costruire la nostra identità e sentirsi realizzati.

Però, c'è un tempo per ogni cosa. A un certo punto, ho sentito che il mio cammino non poteva più continuare lontano dai luoghi e dalle persone presso cui sono nato. Avevo colto tutti i frutti che il Belgio mi aveva dato e ciò significava che per me era venuto il tempo di tornare. Così ho fatto e non me ne pento.

Zuzanna Klutschka, Alicja Nowak

Polskie studentki wyróżnione w konkursie na projekt centrum designu w Mediolanie

Autorki tekstu w roku akademickim 2020/2021 otrzymały stypendium programu Erasmus+ w Politecnico di Milano we Włoszech. W grudniu 2020 zdobyły wyróżnienie w Międzynarodowym Konkursie Architektonicznym dla profesjonalistów i studentów, organizowanym przez stowarzyszenie Start For Talents, edycja #MilanCall. Celem konkursu było zaprojektowanie Design Factory w Mediolanie.

Podczas podróży po Włoszech oraz dzięki możliwości zamieszkania w tym jakże zróżnicowanym kraju można zobaczyć na własne oczy, jak cenne dzieła architektury na przestrzeni wieków dali społeczeństwu włoscy architekci. Różnorodność architektoniczna i artystyczna Mediolanu przyciągają do stolicy Lombardii. Miasto od dawna było jednym z najważniejszych włoskich ośrodków artystycznych, wniosło istotny wkład w rozwój historii sztuki i było kolebką niektórych współczesnych ruchów artystycznych.

Celem projektu było zapewnienie ciągłości kompozycyjnej i komunikacyjnej placu San-

to Eustorgio zlokalizowanego w mediolańskiej dzielnicy Ticinese w sposób naturalny ukształtowanego przez ruch pieszych. Ze szczególną starannością podkreślono kilka elementów istniejącej działki, w tym kościół Sant'Eustorgio na przedłużeniu jego południowej osi prowadzącej od dzielnicy Navigli. Proponowany budynek – centrum warsztatów artystycznych – wpisuje się w otwartą kompozycję placu i atrakcyjnie go uzupełnia.

Dynamiczna bryła geometryczna nie tylko wnosi powiew świeżości do istniejącej historycznej tkanki dzielnicy i nie ogranicza dostępności i ekspozycji istniejących w pobliżu cennych budynków. Zaprojektowane zawieszenie nad głównym wejściem otwiera widok i zwraca uwagę przechodniów na zabytkową architekturę kościoła Sant'Eustorgio.

Plac został obniżony do wysokości -1,2 m, która jest jednocześnie poziomem obniżonego parteru projektowanego budynku. To lokalne obniżenie pozwala wyodrębnić dwie części placu: część należącą bezpośrednio do samego ośrodka warsztatowego – tworzącą intymną przestrzeń publiczną oraz tę przed kościołem –

zachowującą aktualny charakter miejsca.

Obniżenie tworzą stopnie, siedziska oraz rampa zapewniająca dostępność dla osób niepełnosprawnych. Ważnym elementem planowanego placu jest zachowanie części istniejących okazałych drzew, które wraz z dodatkowo zaprojektowaną zielenią prowadzą przechodniów do centrum warsztatowego.

Dostęp do Centrum Kreatywności jest zapewniony z dolnej części placu (wejście główne) oraz z przeciwległego rogu, gdzie znajduje się księgarnia. Budynek Centrum został podzielony na dwie główne kondygnacje:

- obniżony do poziomu -1,2 m parter. Tutaj znajduje się hol wejściowy z recepcją, kawiarnią, księgarnią oraz pracownią fotograficzną ze świetlikiem zapewniającym odpowiednie oświetlenie.
- piętro z salami warsztatowymi dla studentów mody i sztuki oraz sala wystaw stałych. Główny przestronny hol można przekształcić w przestrzeń przeznaczoną na wystawę czasową.

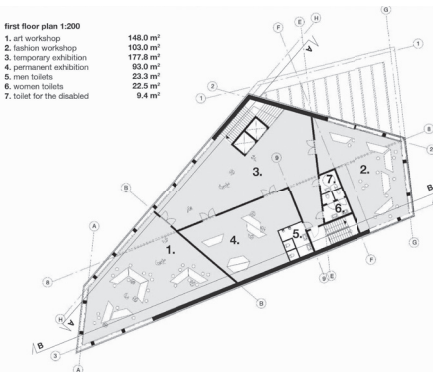
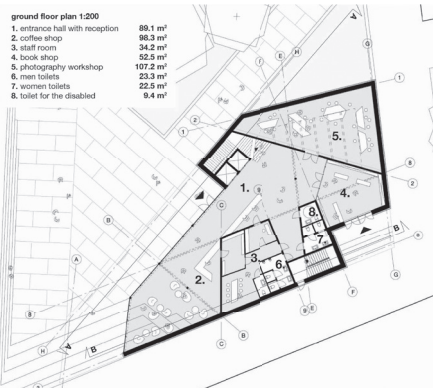
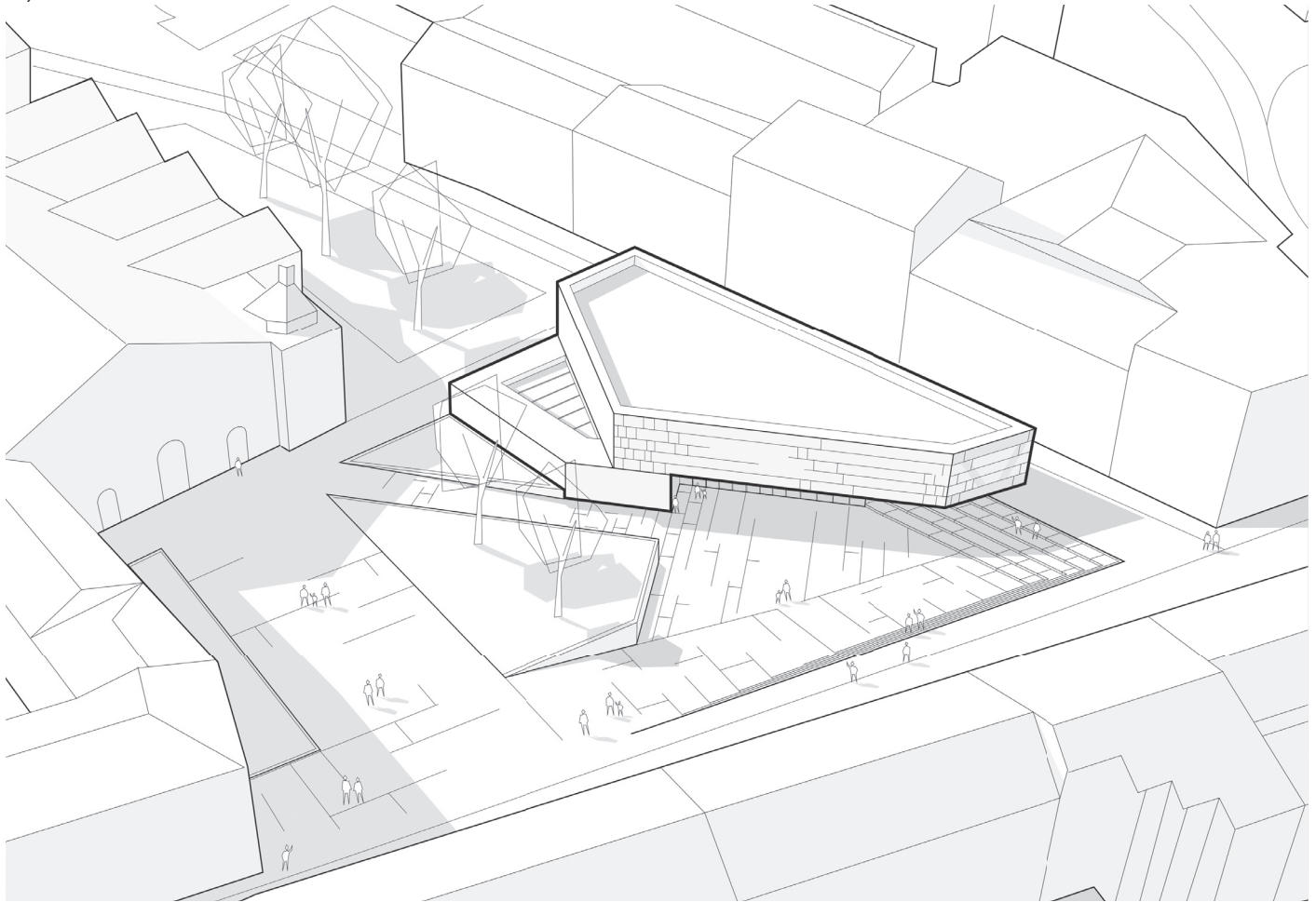
Spójna bryła budynku może sprawiać wrażenie monolitycznej konstrukcji, ale zastoso-

wany materiał – okładzina alabastrowa – rozprasa światło wpadające do pomieszczeń warsztatowych, tworząc jednocześnie ciekawe wrażenie wizualne budynku, zarówno od strony wewnętrznej, jak i zewnętrznej.

Obiekt wyposażony jest w niezbędną infrastrukturę sanitarną oraz pomieszczenia techniczno-magazynowe zlokalizowane na kondygnacji -1.

Creative Hub to przyjemne, jasne i przestronne miejsce do pracy dla młodych artystów,

wpisujące się w istniejące otoczenie placu tak, aby nie odciągać ich uwagi od cennych elementów historycznej tkanki. Zastosowane materiały w nowoczesny sposób nawiązują do otaczającej architektury, zapewniając jednocześnie dyfuzję wnętrza i zewnątrz.



Progetto del design center di Milano (aut. Zuzanna Kletschka, Alicja Nowak)

Zuzanna Klutschka, Alicja Nowak

Le studentesse polacche premiate al concorso per il design center di Milano

Nell'anno accademico 2020/2021 le autrici del testo hanno ricevuto una borsa di studio Erasmus+ presso il Politecnico di Milano in Italia. A dicembre 2020 hanno ricevuto un riconoscimento al Concorso Internazionale di Architettura per professionisti e studenti, organizzato dall'associazione Start For Talents, edizione #MilanCall. Lo scopo del concorso era progettare la Design Factory a Milano.

Viaggiando in Italia e vivendo in questo variegato paese, è possibile vedere con i propri occhi quali preziose opere di architettura nei secoli sono state donate alla società dagli architetti italiani. La diversità architettonica e artistica a Milano rappresenta uno dei punti di attrazione del capoluogo lombardo. La città è stata infatti tra i centri italiani più importanti della storia dell'architettura, ha fornito importanti contributi allo sviluppo della storia dell'arte ed è stata la culla di alcuni movimenti d'arte moderna.

L'obiettivo del progetto è stato quello di garantire la continuità compositiva e comunicativa della piazza Sant'Eustorgio situata nel quartiere Ticinese di Milano, modellata dal traffico pedonale. Sono state evidenziate con particolare cura alcune caratteristiche del lotto esistente, tra cui la Chiesa di Sant'Eustorgio nel prolungamento del suo asse meridionale che parte

dal quartiere dei Navigli. L'edificio proposto – il centro dei laboratori artistici – si inserisce nella composizione aperta della piazza e la completa in modo attraente.

La dinamicità della forma geometrica porta una ventata di freschezza al tessuto storico esistente del quartiere e non limita l'accessibilità e l'esposizione degli edifici di pregio nelle vicinanze. La sospensione progettata sopra l'ingresso principale apre la vista e richiama l'attenzione dei passanti sulla storica architettura della Chiesa di Sant'Eustorgio.

La piazza è stata abbassata ad un'altezza di -1,2 m, che è anche il livello del piano terra ribassato dell'edificio progettato. Questo abbassamento locale permette di distinguere due parti della piazza: la parte che appartiene direttamente al centro officina stesso – creando uno spazio pubblico intimo, e quella antistante alla chiesa – mantenendo il carattere attuale del luogo.

L'abbassamento è stato creato da gradini, sedili e una rampa che garantisce l'accessibilità alle persone disabili. Un elemento importante della piazza progettata è la conservazione di alcuni degli alberi esistenti, che, insieme alla vegetazione aggiuntiva progettata, conducono i passanti al centro del laboratorio.

L'accesso al Centro Creatività è previsto dalla parte inferiore della piazza (ingresso prin-

cipale) e dall'angolo opposto dove si trova la libreria. L'edificio del Centro è stato suddiviso in due piani principali:

- piano terra ribassato a quota -1,2 m. Qui c'è un ingresso con reception, caffetteria, libreria e studio fotografico con un lucernario che fornisce un'illuminazione adeguata.
- un piano che ospita laboratori per studenti di moda e arte e una sala espositiva permanente. L'ampio salone principale può essere trasformato in uno spazio destinato ad una mostra temporanea.

Il corpo vicino all'edificio può dare l'impressione di una struttura monolitica, ma il materiale utilizzato – il rivestimento in alabastro – diffonde la luce che entra nelle stanze del laboratorio, creando un'interessante impressione visiva dell'edificio sia dall'interno che dall'esterno.

La struttura è dotata dei necessari servizi sanitari nonché di locali tecnici e di deposito posti al piano -1.

Creative Hub è un luogo piacevole, luminoso e spazioso dove possono lavorare giovani artisti, che si fonda con il contesto esistente della piazza per non distarli dagli elementi di pregio del tessuto storico. I materiali utilizzati rimandano all'architettura circostante in chiave moderna, garantendo al contempo la diffusione degli interni e degli esterni.



Progetto del design center di Milano (aut. Zuzanna Klutschka, Alicja Nowak)

Anna Głowacka

Leżący

Michele Serra – *Leżący*, Feltrinelli, Milano, Italia, 2013
Tłumaczenie z języka włoskiego: Grzegorz Niedźwiedź
Esteri, Wrocław, 2016

Trudno powiedzieć, czy książka stała mi się bliska. Nie wiedziałam, czy jej treść będzie mi odpowiadała. W rzeczywistości brak mi właściwego dystansu pomiędzy byciem nastolatką a matką nastolatka. Taka sama odległość dzieliła mnie w czasie lektury od łez wzruszenia do łez płynących ze śmiechu. Ani jedno, ani drugie nie spadły na strony książki. Jednak Michele Serra daje nam tutaj coś innego. Co? To właśnie spróbuję opowiedzieć.

A co jeśli jakaś radykalna zmiana w strukturze neuronalnej stworzyła nie tylko typowe przeplatanie się kultur, zwyczajów i myślenia, ale ostateczny rozdział między przyszłością a przeszłością ludzi?

Odwieczny konflikt pokoleń. Wydaje się, że na ten temat napisano już wszystko. Rynek, szczególnie w ostatnich latach, zasypany jest poradnikami o wychowaniu, od poziomu obecności dziecka w brzuchu do momentu uwolnienia rodziców w dniu jego osiemnastych urodzin. A jednak Michele Serra zdecydował się zabrać głos w tej kwestii. Temat pozostaje ten sam – relacje z potomkiem, tutaj nastolatkiem – ale jego książka to z pewnością nie poradnik. Autor, z typowym dla siebie humorem¹ podsztytym sympatyczną ironią, daje nam raczej antylekcję tego, jak przeżyć, wychować i nie zwariować. Choć właściwie wszystkie te trzy reguły zostaną tu podważone.

Zacznijmy od początku, a więc od tytułu. Kim jest leżący? Jest to określenie opisujące wizję współczesnej młodzieży. Autor, przedstawiciel pokolenia rodziców, określa w ten sposób pozycję, w której młodzi przeżywają większą część swojego życia. Z perspektywy ojca – narratora książki – życie jego dorastającego syna mija na złanych w jedno: jedzeniu, spaniu, graniu, oglą-

1 Michele Serra to urodzony w Rzymie pisarz, dziennikarz i satyryk. Włoskiej publiczności znany jest z programu *Che tempo che fa* oraz z tworzenia satyrycznego periodyku *Cuore*. Poza książką *Leżący* stworzył kilka innych, nagradzanych powieści, zbiorów opowiadań, poezji i reportaży. Jak sam przyznaje w wywiadach, *Leżący* jest bardzo osobistą powieścią i zawiera wiele refleksji autobiograficznych.

daniu, wszystko w pozycji horyzontalnej. Od razu budzi się w nas bunt – przecież to wyolbrzymienie. Tak, ale właśnie tym zabiegiem autor buduje humor opowieści o różnicach pokoleniowych, które zdają się być nie do pokonania.

Powieść toczy się na dwóch płaszczyznach. Pierwsza to opowiadanie o codziennych zdarzeniach, spotkaniach i obserwacji o synu, przytaczanych przez jego ojca. Druga to fantastyczna opowieść o losach społeczności, w której rozpoczyna się Wielka Ostateczna Wojna między Młodymi a Starymi. Autor sięga tutaj po dość absurdalny humor. Wydarzenia są groteskowe. Stereotypowe podejście do problemów młodych i starych ludzi i ich starć w codzienności jest wyolbrzymione do ekstremum.

Autorowi można zarzucić brak oryginalności i nowego spojrzenia na odwieczny konflikt pokoleń. Nie sili się on na poszukiwanie nowych przyczyn tarć: bałagan, nocny tryb życia, lenistwo, brak komunikacji, uzależnienie od technologii... Wszystko to znamy od dawna i to pewnie z obu perspektyw – oskarżanego, a później oskarżyciela. Jednak w przedstawieniu tych zagadnień jest coś zaskakującego – realna próba zrozumienia. Próba, do której narrator nie chce bezpośrednio się przyznać, by nie stracić resztek ojcowskiego autorytetu.

Cała powieść napisana jest w formie apostrofy do syna. Pod warstwą humoru i ironicznego spojrzenia na codzienne sytuacje znajdujemy wielką tęsknotę ojca za bliskością relacji z nim. Narrator przytacza na pozór banalne i zabawne sytuacje, których celem okazuje się być nie krytyka nastolatka, a próba usprawiedliwienia się – „dlaczego jest mi tak trudno do ciebie dotrzeć”.

Autor porusza problem „obsesji rozumienia”. To, co nie jest dla nas jasne, wywołuje poczucie złości i frustracji. Rodzice z całych sił chcieliby zrozumieć, dlaczego ich dziecko właśnie tak się ubiera, dlaczego otacza się takimi właśnie znajomymi. Jednak prowadzi to do konfliktu z autonomią i poczuciem wolności dzieci. Każde kolejne pokolenie przynosi zmiany niezrozumiałe dla tych poprzednich. Niestety, obsesyjna chęć rozumienia jest zakorzeniona w ludzkiej naturze i idzie w parze z „darem niepamięci” swojej wła-

snej młodości. Stąd często rodzice próbują budować relację z dojrzewającym dzieckiem w sposób zbyt ofensywny. Michele Serra zbiera dla nas pełne humoru historie, rysujące się w książce jako znaki ostrzegawcze, jednak z czytelnym komunikatem: „to i tak niemożliwe do uniknięcia”.

Każdy rozdział zaczyna się wspomnieniem o zagadkowej górze Nasca. Ojciec początkowo proponuje, później gorąco namawia, po czym decyduje się przekupować, szantażować i błagać, żeby syn się tam z nim udał. Dlaczego to takie ważne? Warto wspomnieć, że góra Nasca jest tworem całkowicie fikcyjnym. W jednym z wywiadów autor wspomina, jak instytut geografii zwrócił się do niego z pytaniem, gdzie właściwie znajduje się to wzgórze. Co ciekawe, po lekturze możemy tylko zastanawiać się, czy bohaterowie rzeczywiście pewnego dnia się tam wybrali, czy jest to jedynie wytwór wyobraźni i głębokie pragnienie ojca. Opis podróży jest bardzo dokładny i plastyczny. Jego symbolika jest dość oczywista – droga na górę, gdzie to najpierw rodzic jest przewodnikiem dziecka, później dystans między nimi zwiększa się, aż wreszcie, niepostrzeżenie, rodzic zostaje w tyle i może jedynie patrzeć na to, jak jego dziecko zdobywa szczyt.

Jest to bardzo ciepłe zamknięcie, dające poczucie nadziei po lekturze pełnej chłodnego dystansu i przepychanek zastępujących budowanie prawdziwej relacji. Choć fragment ten daleki jest od wywoływania wzruszeń i łez, daje nam inny rodzaj uśmiechu niż prezentowany do tej pory uśmiech ironiczny.

Mimo że moja przygoda z książką trwała krótko, liczy ona zaledwie 107 stron, to zdążyła wywołać we mnie cały wachlarz emocji. To, o czym jest, wcale nie wskazuje na to, dla kogo jest przeznaczona. Pełna anegdot, humoru, a zarazem ciepła, historia relacji opisana w *Leżących* może być czytana w kluczu rozmaitych stosunków międzyludzkich. Nie dostajemy tu gotowych odpowiedzi i recept, ale możemy spojrzeć na opisaną z dystansem opowieść o dwóch mężczyznach poszukujących wzajemnej bliskości. Może dzięki tej książce uda nam się spojrzeć na nasze relacje innymi oczami, z większym zrozumieniem, cierpliwością i radością.

Anna Głowacka

Gli sdraiati

È difficile dire quanto mi sia affezionata a questo libro. Non sapevo se il contenuto si adattasse a me. Di fatto mi manca la giusta distanza fra l'essere una adolescente e

l'essere madre di un adolescente. Durante la lettura, ugualmente, la distanza fra me e le lacrime di gioia e commozione è stata altrettanto viva. Né quelle prime né quelle seconde sono cadute sulle pagine di questo libro. Tuttavia Miche-

le Serra ci dà qualcos'altro. Che cosa? Proverò a raccontarvelo.

E se un cambiamento radicale nella struttura neuronale creò non solo un tipico intreccio delle culture, abitudini e modi di pensare, ma una ri-

partizione definitiva tra il futuro e passato della gente?

Un eterno konflikt generacyjny. Sembrze, że sja gja stato scritto tutto su questo tema. Il mercato, soprattutto negli ultimi anni, è pieno di guide su come crescere i bambini fin dalla loro presenza nella pancia, nonché sulla liberazione dei figli dai loro genitori allo scoccare del diciottesimo anno di età. Ebbene, Michele Serra ha pensato, attraverso questo romanzo, di dire la sua. Il tema rimane lo stesso – le relazioni con un figlio adolescente – ma sicuramente questo libro non è una guida. L'autore, con un caratteristico senso di umorismo¹, pieno di simpatica ironia, ci dà un'anti-lezione su come sopravvivere, su come crescere un bambino e non impazzire. In realtà, tutte e tre le regole saranno qui messe in dubbio.

Partiamo dall'inizio – dal titolo. Chi è uno sdraiato? È una parola che ben descrive l'immagine degli adolescenti contemporanei. L'autore – un rappresentante della generazione dei genitori – si riferisce con questo termine alla posizione in cui i giovani passano la maggior parte della loro vita. Dalla prospettiva di un padre – che coincide con la voce narrante del libro – il figlio spreca la sua vita mangiando, dormendo, giocando e guardando il mondo, tutto in posizione orizzontale. Ciò non può che farci sobbalzare dalla sedia dicendo che si tratti di una esagerazione. Tuttavia, in questo modo, l'autore costruisce un umore specifico della storia delle differenze tra le generazioni, che sembrano impossibili da combattere.

La trama si dipana fra due fili conduttori. Il primo è il racconto del padre sulla vita quotidiana, incontri e osservazioni che riguardano il figlio. Il secondo è una storia fantastica della co-

¹ Michele Serra è uno scrittore, giornalista e satirico nato a Roma. Conosciuto dal pubblico italiano anche grazie al programma *Che tempo che fa* e all'elaborazione del periodico satirico *Cuore*. Oltre a *Gli sdraiati* ha pubblicato altri romanzi premiati, raccolte di racconti, poesie e reportage. Come ammette in varie interviste, *Gli sdraiati* è un romanzo molto intimo che contiene tante riflessioni autobiografiche.

munità in cui inizia la Grande Guerra Finale tra i Vecchi e i Giovani. L'autore usa qui un umore abbastanza assurdo. Gli avvenimenti sono grotteschi. Un approccio stereotipato ai problemi delle persone giovani e vecchie e ai loro conflitti quotidiani è esagerato fino all'estremo.

Possiamo accusare l'autore di non essere originale con il suo sguardo obsoleto sul conflitto eterno tra le generazioni. Non prova a cercare dei motivi nuovi del conflitto: disordine, vita notturna, pigrizia, mancanza di comunicazione, dipendenza dalla tecnologia... Tutte queste cose le conosciamo da molto tempo e probabilmente da entrambe le prospettive: di un accusato e dopo di un accusatore. Comunque, nella presentazione di tutti quegli argomenti c'è qualcosa di sorprendente – un tentativo reale di capire. Il tentativo del narratore di non voler ammettere di aver fatto tutto per non perdere l'ultimo briciolo di autorità paterna.

Tutta la storia ha una forma di invocazione al figlio. Sotto la superficie dell'umorismo e di uno sguardo ironico sulle situazioni quotidiane si nasconde una grande nostalgia del padre per un legame forte e ravvicinato con il primogenito. Il narratore racconta le storie apparentemente umoristiche e banali il cui obiettivo non è, in fin dei conti, la critica dell'adolescente ma una prova di giustificazione – "perché è così difficile raggiungerli?".

L'autore affronta il problema dell'"ossessione di capire". Quello che non ci sembra chiaro, ci rende arrabbiati e frustrati. I genitori provano con tutte le forze a capire perché i loro figli si vestono così, perché i loro amici sono così come sono. Ad ogni modo, tutto questo porta al conflitto con l'autonomia e il sentimento di libertà dei figli. Ogni generazione nuova provoca i cambiamenti incomprensibili per quelle precedenti. Purtroppo, l'ossessione di capire è legata al "dono dell'oblio" della propria giovinezza. Per questo motivo i genitori spesso cercano di costruire la relazione con il bambino crescente in un modo troppo offensivo. Michele Serra raccoglie per noi le storie piene di umore, che sono come i segnali di pericolo, ma con il messaggio

chiaro "questo comunque non è possibile da evitare".

Ogni capitolo inizia con il ricordo del misterioso Colle della Nasca. Il padre all'inizio propone, cerca di persuadere infine decide di corrompere, ricattare e implorare il figlio per recarsi con lui sul Colle della Nasca. Perché è così importante? Vale la pena di precisare che il Colle della Nasca non esiste nella realtà. In un'intervista l'autore ricorda che una volta anche un istituto geografico gli aveva chiesto dove si trovasse questo luogo. È interessante chiedersi se, dopo aver letto il romanzo, i protagonisti non abbiano raggiunto la cima della Nasca o se quello è solo un luogo frutto della fantasia e del desiderio profondo del padre. La descrizione del viaggio è molto precisa e plastica. Il suo significato simbolico è semplice da costruire – la salita sulla montagna rappresenta il genitore quale guida del bambino per poi simboleggiare la distanza tra di loro che si allunga e infine, inaspettatamente, il bambino anticipa il genitore che può solamente osservare il suo bambino raggiungere la cima.

La fine è molto calorosa. Essa infonde un sentimento di speranza dopo una lettura piena di distanza fredda e di scontri che sostituiscono la relazione vera. Anche se questo frammento non causa il pianto di tristezza, ci offre un sorriso di un tipo diverso da quello precedente – ironico.

Nonostante che la mia avventura con questo libro non sia stata lunga poiché esso ha solo 107 pagine, mi ha offerto una gamma completa di emozioni. Il tema non predetermina il destinatario. La storia piena di aneddoti, umore e il calore descritta ne *Gli sdraiati* può essere interpretata da tante diverse prospettive. Non otteniamo nessuna risposta o prescrizione pronta, ma possiamo osservare una storia scritta con la distanza che parla di due uomini in cerca della vicinanza reciproca. Forse grazie a questo libro saremo in grado di dare uno sguardo alle nostre relazioni con gli occhi nuovi, con una comprensione, pazienza e gioia più grandi.

Justyna Groblińska

Czytaj i gotuj

Recenzja książki *Moja kuchnia pachnąca bazylią* Tessy Capponi-Borawskiej

Po raz kolejny Wydawnictwo Czarne zachęca nas przepiękną malarską okładką do odbycia kulinarnej podróży z Tessą Capponi-Borawską w roli przewodnika. Dwa lata temu na łamach czasopisma „ItaliAMO” (nr XVI, str. 14–15) opublikowaliśmy recenzję innej jej książki zatytułowanej *Smak kwiatów pomarańczy*. Tym razem nie jest to wywiad rzeka, a wznowienie wspomnień autorki po dwudziestu pięciu latach od ich pierwszego

wydania. Jakie przygody czekają miłośników Włoch w nostalgicznej wędrówce włoskiej aristokratki?

Przygody i niespodziewane zdarzenia to w przypadku tej książki niezwykle przepisy, jakimi dzieli się szczerze z czytelnikami właścicielka kuchni pachnącej bazylią. Trzeba przyznać, że lektura do łatwych nie należy, bowiem co kilka stron pojawiają się przemyślane, intrygujące i zachęcające do spontanicznego goto-

wania przepisy. Wyzwaniu sprostać można na dwa sposoby – czytać książkę po posiłkach lub delectować się krótkimi fragmentami i niemal każdy kończyć przygotowywaniem kolejnych włoskich (i nie tylko) dań. Jak sama autorka cytuje „świat nie kończy się na Florencji” (Capponi-Borawska 2020: 216), zatem w mnóstwie dań toskańskich i włoskich z innych regionów znajdziemy także te angielskie, mex, greckie czy polskie. Całość okraszona jest

historią rodzinną opisującą życie włoskich arystokratów, ich zwyczaje i oczywiście posiłki z niezwyklejmi detalami – trzeba powiedzieć, że pamięć autorki do szczegółów imponuje, ale i niekiedy może nużyć. Podobnie jak w przypadku *Smaku kwiatów pomarańczy*, elementy realizacyjne mogą okazać się momentami zbyt dokładne dla przeciętnego czytelnika, jednak dla italianistów i entuzjastów Toskanii i Włoch będą one stanowiły wielki atut.

Książkę można podzielić na dwie zasadnicze części – włoską i zagraniczną. Włoska – nostalgiczna, szczegółowa do granic, emocjonalna, a zagraniczna – zwięzła, bardziej dy-

namiczna i zgrabniejsza pod względem językowym. A gdy mowa o języku właśnie, trzeba oddać autorce, że snuje bardzo ciekawe wywody etymologiczne i inne interesujące refleksje metajęzykowe.

Jakie emocje wywołuje książka? Czy jest wartościowa? Czy i komu bym ją poleciła? Czy w trakcie lektury poczujemy zapach bazylii? Odczucia są różne – z jednej strony podziw dla pełnego profesjonalizmu w dziedzinie kulinarii, z drugiej – zadziwienie błędami językowymi, które po kilku wydaniach książki jeszcze nie zostały wychwycone. Niemniej jednak pozytywne wrażenia przeważają. Krytyczne językoznawcze spojrzenie jest nieuniknione,

ale też nie powinno być tym wiodącym. Należy przede wszystkim docenić elementy książki kucharskiej oraz bogatej historycznej opowieści o świecie, którego – jak kilkakrotnie podkreśla autorka – już niestety nie ma, a ona na kartach swej książki próbuje go odtworzyć. A zatem – tak, książka jest wartościowa i poleciłabym ją osobom szukającym inspiracji do gotowania, chcącym udać się we wspomnieniową wędrówkę po Włoszech, w pandemicznych czasach jeszcze bardziej odległych, i – przede wszystkim – italianistom. Niewątpliwie każdy czytelnik poczuje zapach bazylii i podąży za nim do kuchni, by wypróbować jeden z wielu smakowitych przepisów. *Buona lettura e buon appetito!*

Justyna Groblińska

Leggi e cucina

La recensione del libro *Moja kuchnia pachnąca bazylią [La mia cucina fragrante di basilico]* di Tessa Capponi-Borawska

Ancora una volta le edizioni Czarne ci invitano con una copertina pittoresca a un viaggio culinario con Tessa Capponi-Borawska come guida. Due anni fa nella rivista “ItaliAMO” (n. XVI, pp. 14–15) abbiamo pubblicato una recensione di un altro suo libro intitolato *Smak kwiatów pomarańczy*. Questa volta non è un’intervista fiume ma la ristampa dei ricordi dell’autrice dopo venticinque anni passati dalla prima edizione. Quali avventure attendono gli ammiratori dell’Italia in questo viaggio nostalgico percorso dalla nobile italiana?

Con avventure e vicende inaspettate si intendono in questo caso delle ricette straordinarie, generosamente offerte dalla proprietaria della cucina con il profumo del basilico. Occorre dire che la lettura non è facile: di pagina in pagina emergono ricette ben pensate, accattivanti, che incoraggiano a cucinare subito. La sfida può essere affrontata in due modi diversi: leggendo il libro dopo i pasti o godendosi dei brani corti e concludere quasi tutti con la preparazione dei diversi piatti italiani (e non solo). L’autrice stessa riporta una citazione “świat nie

kończy się na Florencji” [‘il mondo non finisce a Firenze’ – trad. JG] (Capponi-Borawska 2020: 216) quindi, tra la moltitudine di piatti toscani e italiani tipici delle altre regioni, troveremo anche quelli inglesi, texani e messicani, greci o polacchi. Il tutto è condito dalla storia familiare che racconta la vita dei nobili italiani, le loro tradizioni e i loro pasti descritti dettagliatamente – senz’altro, la memoria dell’autrice per i particolari è impressionante, ma a volte rende il discorso un po’ noioso. Come era nel caso di *Smak kwiatów pomarańczy*, gli elementi della realtà italiana possono risultare troppo dettagliati per un lettore medio, però per gli italianisti e per gli ammiratori della Toscana e dell’Italia saranno un grande vantaggio.

Il libro può essere diviso in due parti generali: una italiana e una internazionale. L’italiana – nostalgica, oltremodo dettagliata, carica di emozioni e l’internazionale – concisa, più dinamica e più stimolante dal punto di vista linguistico. E se si tratta appunto della lingua, si deve sottolineare che l’autrice presenta informazioni etimologiche molto curiose e propone altre riflessioni metalinguistiche che suscitano

l’interesse.

Quali emozioni provoca il libro? È di qualità? Se e a chi lo raccomanderei? E durante la lettura saremo in grado di sentire il profumo del basilico? Le riflessioni sono diverse: da un lato si deve apprezzare la professionalità dal punto di vista culinario, dall’altro lato stupisce che dopo alcune ristampe del libro gli errori linguistici non siano ancora stati corretti. Tuttavia, prevalgono le impressioni positive. Un approccio linguistico critico è inevitabile, però non dovrebbe diventare quello prevalente. Innanzitutto si devono apprezzare gli elementi di ricettario e del ricco racconto di un mondo che – come ogni tanto sottolinea l’autrice – purtroppo non esiste più e che lei nel libro cerca di ripristinare. Tutto sommato, sì, il libro è di qualità e lo raccomanderei alle persone che cercano ispirazioni culinarie, che desiderano intraprendere un viaggio tra i ricordi in Italia, sempre più lontana in epoca pandemica, e – prima di tutto – agli italianisti. Ogni lettore sentirà senz’altro il profumo del basilico e lo seguirà andando in cucina per poter provare una delle ricette appetitose. *Buona lettura e buon appetito!*

William Raphael

@djwilliamraphael

Źłumaczenie: Katarzyna Kowalik

NeverEnding Story Giorgia Morodera

Echa włoskiej muzyki dance w perspektywie książki *Svegliamoci italici! Manifesto per un futuro globale* Piera Bassettiego

Dzięki udziałowi w zorganizowanej w 2019 roku przez Globus et Locus szkole letniej nie tylko nawiązałem italskie przyjaźnie, lecz zapoznałem się także z książką *Svegliamoci italici! Manifesto per un*

futuro globale Piera Bassettiego. Ta okazja skłoniła mnie do ciągłego stawiania sobie pytań na temat italskości wynikającej z włoskich korzeni mojej brazylijskiej rodziny.

W przypadku potomka imigrantów po-

czątkowe klasyczne odniesienia są dość stereotypowe. To głównie wspomnienia związane z treściami podręczników do historii czy tradycyjną muzyką przodków. Ponadto pozostają rzecz jasna elementy kultury włoskiej XIX wie-

ku, którą lokalni imigranci próbowali zachować poprzez rytuały, organizowane wydarzenia i liturgię. Czułem jednak, że jakiś ślad mojego pochodzenia był z pewnością związany ze znanym mi, dziecku lat 80., światem. Co z tej tożsamości pozostało w moim kosmopolitycznym doświadczeniu? I szerzej – jak utożsamić italskość z popkulturą?

Pytania te jeszcze bardziej uwidoczniły się w moich przemyśleniach po tym, jak zostałem zaproszony jako DJ na sesję podczas wydarzenia online „Dialoghi Italicci” w trakcie jednego z okresów kwarantanny Covid-19 w 2020 roku. Pomimo że usiłowałem doszukać się italskich nawiązań w mojej kulturze, rozumiałem, że o czymś zapomniałem – o tym, żeby dokonać uczciwego wejścia w głąb siebie. Pewne elementy muzycznych odniesień, których szukałem od najmłodszych lat, miały swojego prekursora. I tak objawił mi się pierwszy mglisty obraz Giorgia Morodera, jednej z najbardziej wpływowych postaci muzyki dance, która zawsze wibrowała – i nie tylko – we mnie.

W różnych częściach świata, nawet zupełnie nieświadome wysłuchanie sekwencji charakterystycznego dźwięku daje ludziom dostęp do wspólnych korzeni. Chodzi o poczucie technologicznej innowacji, paradoksalnie powiązane z hedonizmem i miłością. Od współpracy z Donną Summer w *I Feel Love* (1977), przez ścieżkę dźwiękową *Flashdance*, aż do kawałków takich jak *Never Ending Story* Limahla (1984), wszędzie widać ślady Morodera. I w niemal wszystkich EDM (*Electronic Dance Music*) świata, a przynajmniej w zachodniej perspektywie, można usłyszeć ich echa. I tak, o ile trudno jest znaleźć pochodzenie samej muzyki elektronicznej, Moroder może być uważany za ojca współczesnej komercyjnej muzyki dance. Czy też za dziadka – dla nowych pokoleń – bo pomimo ukończonych osiemdziesięciu lat, współpracował niedawno z Daft Punk przy *Random Access Memories* z 2013 r. W utworze *Giorgio by Moroder* nagrania jego głosu opowiadają historię w muzycznej atmosferze Daft Punk, którą on sam po części ukształtował. Znane są także jego ostatnie współprace, obie z 2015 r., z Kylie Minogue i Britney Spears. Jego niemal wszechobecność fascynuje do dziś producentów muzycznych i artystów powiązanych z brzmieniową tożsamością Morodera, obecną w muzyce elektronicznej i popie.

Ten obywatel Trydentu-Górnej Adygi, graniczącym ze Szwajcarią i Austrią trójjęzycznym regionie, w którym mówi się po włosku, niemiecku i ladyńsku, wyniósł *italic factor* na zupełnie inny poziom. Z jakiegoś powodu jego dźwięki przedostały się do świata bez granic. Warto zaobserwować, że był on w stanie wywrzeć wpływ na świat, właściwie nie emigrując. Być może jest to wywołane jego popularnym sposobem użycia elementów i dźwiękowych wartości, które mogłyby zostać uznane za erudycyjne, ale na sposób prosty i sekwencyjny. Jednym z jego wpływów było użycie synteza-

torów Wendy Carlos, która podzieliła partytury muzyczne na sekwencje, dając im przystępny, nowoczesny wymiar. Często współpracował z wykonawcami o przyjaznych, wibrujących głosach, często amerykańskich, a teksty były tworzone w języku angielskim. Ta kombinacja technologicznych artefaktów, w tym vocoderów i drum machines, z muzyką organową, wywodzącą się przede wszystkim z undergroundowych ruchów, równoważy połączenie lokalnego z globalnym. Co więcej, jego muzyka już w latach 70. emanuje futurystycznym zmysłem, a jednocześnie bliskością i poczuciem wspólnoty. Jego wpływy nie są jednolite – przypomnijmy sobie, że italskość nie polega jedynie na ochronie włoskich korzeni, ale na byciu hybrydą, czymś bliskim, rozpoznawalnym.

Wiele czynników może wyjaśnić rozległy zasięg sztuki Giorgia Morodera we współczesnym globalnym społeczeństwie. Jednym z nich jest prostota. Melodie z pierwszych okresów działalności Beatlesów, podobnie jak „bubblegum-rock” grupy Ohio Express, wydają się pierwszymi inspiracjami pracy Morodera. Z pewnością można tam znaleźć oryginalny wpływ rytmów tanecznych niemieckiej polki (Moroder produkował przez pewien czas w Niemczech) i melodii europejskiego folku. I chociaż nie był jedynym, który twórczo używał beatu syntezatorów – grali na nich Patrick Cowley, w Kalifornii, i Frank Farian, niemiecki producent Boney M. – Moroder wiedział, jak rozpowszechnić ich rytmy na szeroką skalę. Kolejną cechą jest właśnie popularność muzycznej formy: standardowe formaty ze zwrotkami, łącznikiem i refrenem są obecne zarówno w ich brzmieniu, jak i późniejszych wpływach. Ponadto zauważalna jest silna synchroniczność w muzycznych ekspresjach wyprodukowanych na scenie pop w epoce jej świetności. Projekty na osi Wielka Brytania-USA, takie jak New Order, Human League, Information Society, Anything Box zainspirował właśnie Moroder, podobnie jak włoskich artystów takich jak Ken Lazlo, Baltimora, Baby's Gang e Rose, francuskich, jak Jean-Marc Cerrone czy też niemieckich jak Alphaville. I te muzyczne cechy wciąż wybrzmiewają w kolejnych pokoleniach w sposób wykładniczy.

Istnieje wiele odmian EDM: wystarczy wspomnieć house, trance, garage, French house, eurodance. Ich korzenie mieszają się pomiędzy Niemcami z Kraftwerka a chicagowską i nowojorską sceną queer z Frankiem Knucklesem, Ralphim Rosariem i innymi, którzy wywarli wpływ na klasę średnią Detroit w pierwszych latach techno. Znajdujemy ich prekursorów także w funku, latino i soulu, w klubach odwiedzanych przez grupy czarnoskórych, latynoamerykańskich i homoseksualistów a później miłośników muzyki futurystycznej, czyli tego, co możemy określić jako *post disco*. Disco nie przez przypadek wywodzi się od francuskiego słowa *discothèque*, a reprezentują je produkcje takie jak te Jacquesa

Moraliego i Henriego Bello, urodzonego we francuskim Maroku. Wszyscy przeżyli słynną, znaną Disco Demolition Night z 1979 r. I wszyscy w taki czy inny sposób dostosowali się do Italo disco Morodera, który także przeżył Disco Music i przeniósł ją w inny wymiar w samym środku ery punk rocka. Najciekawsze jest to, by zdać sobie sprawę, że także w post-punku istniał scenariusz New Wave/synthpop, który znów sięga włoskiego disco połączonego z innymi wpływami. Niemcy, Francuzi czy Amerykanie – wielu z nich mogłoby przypisać sobie pochodzenie muzyki elektronicznej, i tego typu zjawiska są często *de facto* zbiorowe. Trzeba też powiedzieć, że europejscy imigranci są mieszkanką różnych kultur. I tak, z wieloma składnikami o różnym pochodzeniu, italo disco Morodera oferuje charakterystykę, która łączy ich wszystkich. Ta dźwiękowa tożsamość odbija się echem także w post italo disco – wiele jej wpływów odnaleźć można w eurodance lat 1990, we włoskich produkcjach, jak u Davida Rivy Larry'ego Pignagnolliego (Whigfield, JK, Spagna) lub we współczesnym electropopie, jak w *Love You Like a Love Song* (2011), u Seleny Gomez & The Scene. Razem z Włochem Alexandrem Robotnickiem, który pojawił się na scenie muzycznej niedługo później, zauważa się znak firmowy muzyki dance, która umocniła się i rozlała na inne gatunki dance w kolejnych latach. W ten sposób widać, że twórcza komórka jest otwarta na aktualizacje, niosąc pewien charakter ponadczasowości.

Tak jak Robotnick, który na początku kariery dołączył do grupy zorientowanej na multimedia i tworzył ścieżki dźwiękowe do sztuk teatralnych i wideoinstalacji, także Moroder wchodził podczas swojej ścieżki w dialog z różnymi formami ekspresji. *I Feel Love*, jak utrzymuje sam artysta, było zainspirowane *Gwiezdny wojny*, co także łączy się z kulturą pop. I tak jak u wybitnego czesko-amerykańskiego klawiszowca Jana Hammersa, także ścieżki dźwiękowe stanowią część kariery Morodera, jak w *Człowieku z blizną*, nowym odczytaniu *Metropolis* i niezapomnianej *Niekończącej się opowieści*. Takie projekty pozwoliły zająć mu miejsce u boku takich gigantów jak Ennio Morricone. I ta cecha potwierdza jego pozycję we współczesnym artystycznym świecie.

Moroder i Robotnick wywodzą się z tej samej generacji, co Jean-Michel Jarre, który używał syntezatorów na szeroką skalę. Nie można też zapomnieć o muzyce elektronicznej wspomnianych Niemców z Kraftwerka. W przypadku Morodera i jego italo disco idzie się jednak w stronę parkietu – z pewnością dzięki wymienionym wcześniej i wielu innym mieszanom i powiązaniom. Te cytowane już organiczne elementy, takie jak głosy i ciało, połączone z futurystyczną, niemal kosmiczną technologią, ukazują psychodeliczny potencjał i urok nocnych klubów małych i dużych miast – a jak

wiadomo, współczesne miasta są także ośrodkami globalnych powiązań. Obserwacja jego pracy w szerokiej perspektywie pozwala stwierdzić, że każdy z elementów tworzących muzykę wydaje się wybrzmiewać echem w różnych częściach kuli ziemskiej: technologie i nauka o azjatyckich cechach łączą się z ludowymi europejskimi melodiami, afrykańską pamięcią i pełnym nadziei głosem nowego świata, potwierdzając autentyczność i ekspresyjność na każdym parkiecie, wraz ze współtwórczym tańcem publiczności, który przynosi wspomnienie dawnych dziejów, gdziekolwiek nie zostałyby zaaplikowane. Ten znak może być utożsamiany w São Paulo, gdzie mieszkam, z różnymi grupami ludności.

Faktycznie, jak utrzymuje Piero Bassetti, italska przestrzeń komunikacyjna jest o wie-

le szersza, niż to, co dotyczy jedynie włoskiego gruntu, przynosząc liczne formy hybrydowe. W aspektach muzykologicznych jest możliwe zrozumienie, że muzyka Morodera, wewnątrz tej wykładniczej charakterystyki, jest także italska. I tutaj chciałbym zwrócić uwagę na prefiks *italo*, od *italo disco*, z jego ideą szerszą niż to, co mieliśmy analizować później jako *italskie*.

Ten tekst nie kończy się w tym miejscu, może być pierwszym z serii, w której ukazane zostałyby różne perspektywy. Mam na myśli współpracę nad zbiorem projektów nad italskością, idącą o krok dalej w stosunku do tego, co studiowałem na kierunku *Arts, Culture and Media* na Uniwersytecie w Groningen. Studiowanie muzyki w kontekście globalnym dla miłośnika muzyki elektronicznej po zdobyciu wiedzy na temat italskości sprawia, że ten punkt widzenia jest nieunikniony jako wkład

do poszerzenia naszych możliwości widzenia i analizy italskiej produkcji artystycznej, z dziełem Morodera związanym z różnymi światowymi ośrodkami kreatywnymi. Z pewnością muzyka jest zbiorowym wkładem – a ten artykuł ma na celu zaprezentowanie jedynie tego, jak wielki artysta był w stanie zsyntetyzować dźwięki muzyki dance na szeroką skalę, łącząc je w swego rodzaju nowy sound design – i to jest italskie. Także my, czytelnicy, możemy inspirować się i szukać powiązań, tworząc przestrzeń dla nowych artykułów naukowych i dzieł artystycznych, spotykając tę ekspresję jednocześnie w wymiarze lokalnym i globalnym. W szerokim świecie, który odizolował się z powodu pandemii, wielokulturowe doświadczenia powinny być promowane. Możliwości jest wciąż wiele – jak niekończąca się historia. *From here to eternity.*



William Raphael

@djwilliamraphael

La NeverEnding Story di Giorgio Moroder

Riverberi della musica dance sotto il prisma del libro *Svegliamoci italici! Manifesto per un futuro globale* di Piero Bassetti

Dopo aver frequentato la Summer School 2019 di Globus et Locus, oltre a farmi grandi amici italici, ho anche preso contatto con il libro *Svegliamoci italici! Manifesto per un futuro globale*, di Piero Bassetti. Da quell'opportunità ho iniziato a farmi domande costanti sulla mia italicità, dovuta alle radici italiane della mia famiglia, in Brasile.

Per un discendente di immigrati, inizialmente, i riferimenti classici sono i *cliché*: principalmente ricordi didattici dei libri di storia, o la musica tradizionale degli antenati. Inoltre, resta qualcosa della cultura italiana del secolo XIX che gli immigrati locali cercarono di preservare con celebrazioni, eventi e liturgie, che sono certamente valide. Ma sentivo che qualcosa di quell'origine era, sicuramente, connesso al mondo che conoscevo, e restava in me, un figlio degli anni '80. Cosa di quell'identità era rimasto nella mia esperienza cosmopolita? E oltre a me, come identificare l'italicità nella cultura pop?

Queste domande sono diventate più evidenti nelle mie riflessioni dopo che ero stato invitato a una sessione come DJ, in un evento online di "Dialoghi Italici" durante uno dei periodi di confinamento da Covid-19 del 2020. Nonostante mi fossi sforzato di cercare riferimenti italici nella mia cultura, ho capito che stavo dimenticando qualcosa: onestamente guardarmi dentro. C'erano certi elementi nei riferimenti musicali che cercavo fin dalla tenera età ma che avevano un predecessore. E la prima nebulosa immagine di Giorgio Moroder mi si era rivelata davanti, uno dei grandi

influencer della musica dance che stranamente vibrava sempre – e non solamente – dentro di me.

In diverse parti del mondo, senza nemmeno saperlo, quando si sente un caratteristico suono in sequenza, è possibile avere accesso a una radice comune. Un senso d'innovazione tecnologica, paradossalmente connesso all'edonismo e all'amore. Dalla partnership con Donna Summer in *I Feel Love* (1977), per la colonna sonora di *Flashdance*, e a pezzi come *Never Ending Story* di Limahl (1984), ci sono impronte di Moroder. E in quasi tutti gli EDM (*Electronic Dance Music*) – mondiali, o almeno della prospettiva occidentale, ci sono riverberi da essi. Così, se è difficile trovare l'origine della musica elettronica stessa, Moroder può essere considerato il padre della musica dance commerciale moderna. O il nonno, per le nuove generazioni, poiché, superati gli ottant'anni d'età, ha tuttavia recentemente collaborato con i Daft Punk, in *Random Access Memories* del 2013, dove il brano *Giorgio by Moroder* presenta le sue voci registrate, raccontando le sue storie, tra una atmosfera musicale di Daft Punk influenzata da lui; notevoli anche le sue recenti collaborazioni con Kylie Minogue e Britney Spears, entrambe nel 2015. In effetti, la sua quasi onnipresenza affascina tutt'oggi i produttori di musica e artisti in relazione all'identità sonora di Moroder, presente nella musica elettronica e pop.

Questo cittadino del Trentino-Alto Adige, una regione trilingue dell'Italia settentrionale, (che parla italiano, tedesco e ladino e condivide

il confine con Svizzera e Austria), ha portato l'*italic factor* ad altri livelli. Per qualche ragione, la sua sonorità ha raggiunto il mondo senza confini. Un'osservazione importante è che è in grado di esercitare influenza nel mondo senza essere adeguatamente immigrato. Forse è dovuto al suo modo popolare di portare elementi e qualità sonore che potrebbero essere considerate erudite, però in modo molto semplice e sequenziale – tra le sue influenze, l'uso dei sintetizzatori di Wendy Carlos, che ha sequenziato spartiti di musica dando a loro un'aria accessibile e moderna – spesso con la collaborazione di cantanti dalle voci accoglienti e vibranti, spesso americani, con i testi in inglese. Questa combinazione di artefatti tecnologici, comprese vocoder e drum machines, alla musica organica, e soprattutto originata dai movimenti underground, risulta un parallelo tra locale e globale. Pertanto, la sua musica già negli anni '70 emana un senso futuristico e, allo stesso tempo, di prossimità e senso comunitario. In effetti, le sue influenze sono in realtà miste: ricordiamoci che con italicità non si tratta solo di preservare le radici italiane, ma di essere un ibrido, qualcosa di familiare, riconoscibile.

Una somma di fattori può spiegarci l'estensione della portata dell'arte di Giorgio Moroder nella società globale contemporanea, come, ad esempio, la semplicità. Le melodie delle prime fasi dei Beatles, così come il "bubblegum-rock" del gruppo Ohio Express, sembrano essere le prime influenze per il lavoro di Moroder. C'è sicuramente un'influenza originaria dei ritmi della polka tedesca – e Moroder ha trascor-

so un tempo in Germania per produrre – e di melodie del folk europeo. E anche se non era l'unico nell'esecuzione creativa di beat da sintetizzatori – Patrick Cowley, in California, e Frank Farian, produttore tedesco di Boney M, già giocarono con sintetizzatori – Moroder sapeva come diffondere i loro ritmi su larga scala. La popolarità in forma musicale è anche un'altra caratteristica: formati standard con strofe, bridge e ritornello sono presenti sia nel loro suono sia nelle successive influenze. Inoltre, c'è una forte sincronicità nelle espressioni musicali prodotte sulla scena pop all'epoca del suo splendore. Progetti dell'asse Regno Unito-USA come New Order, Human League, Information Society, Anything Box e molti altri sono stati influenzati da Moroder, inclusi artisti italiani come Ken Lazlo, Baltimora, Baby's Gang e Rose, o francesi come Jean-Marc Cerrone, o tedeschi come Alphaville. E queste caratteristiche musicali continuano a risuonare nelle generazioni successive, in modo esponenziale.

Ci sono molti filoni di EDM: house, trance, garage, French house, eurodance, solo per citarne alcuni. E le radici sono fuse, tra i tedeschi dei Kraftwerk, o la scena queer di Chicago e New York, con Frankie Knuckles, Ralph Rosario e altri, che hanno influenzato la classe media di Detroit nei primi anni della techno. Per loro troviamo anche predecessori nel funk, latino e soul, nei club frequentati da gruppi di neri, latinoamericani e gay, o posteriormente amanti della musica futuristica – quello che potremmo forse chiamare un *post-disco*. Disco, non a caso, deriva dalla parola francese *discothèque*, con produzioni come di Jacques Morali e Henri Belolo – quest'ultimo nato nel Marocco francese. Tutti sono sopravvissuti alla famosa e faticosa Disco Demolition Night, avvenuta nel 1979. E tutti si adattano, in un modo o nell'altro, nell'Italo-disco di Moroder, che è anche sopravvissuto a disco music e l'ha portato in un'altra dimensione, stesso nel bel mezzo dell'era Punk-Rock. E la cosa più interessante è rendersi conto che, anche nel post-punk c'era lo scenario New Wave/synthpop, che risale di nuovo alla disco-italiana, accompagnata da altre influenze. Tedeschi, francesi o nordamericani, molti potrebbero rivendicare l'origine della musica elettronica – e, in realtà, fenomeni come questo sono spesso di fatto collettivi. E va detto che gli immigrati europei sono mescolati con culture diverse. E con tanti ingredienti da tante origini, l'italo-disco di Moroder offre una caratteristica che li accomuna tutti. Questa identità sonora si riverbera anche nel post italo-disco: molte influenze possono anche essere trovate in Eurodance degli anni '90, in produzioni italiane come quelle di David Riva Larry Pignagnolli (Whigfield, JK, Spagna), o nell'Electropop moderno, come in *Love You Like a Love Song* (2011) da Selena Gomez & The Scene. Insieme all'italiano Alexander Robotnick, che è apparso sulla scena musicale poco

dopo, si denota un marchio di fabbrica per la musica dance che si è affermata e si è riversata in altri generi dance negli anni successivi. È così dimostrato che la cellula creativa è aperta agli aggiornamenti, portando un certo carattere di atemporalità.

Come Robotnick, che all'inizio della sua carriera si è unito a un gruppo orientato al multimediale e ha composto colonne sonore per opere teatrali o videoinstallazioni, anche Moroder ha dialogato con altre forme espressive nel corso della sua traiettoria. *I Feel Love*, come sostiene lo stesso artista, è stato ispirato da *Star Wars* – che è anche legato alla cultura pop. E come il virtuoso tastierista ceco-americano Jan Hammer, anche le colonne sonore fanno parte della carriera di Moroder, come *Scarface*, la rilettura di *Metropolis* e l'indimenticabile *NeverEnding Story*. Tali performances hanno messo la sua qualità accanto a giganti come Ennio Morricone, per esempio. E questa caratteristica lo afferma nel mondo artistico contemporaneo.

Moroder e Robotnick sono anche contemporanei del francese Jean-Michel Jarre, che fece un notevole uso di sintetizzatori. E ancora senza dimenticare la musica elettronica sequenziata dei suddetti tedeschi Kraftwerk, nel caso di Moroder e la sua Italo-disco, tuttavia, c'è un orientamento più diretto per le piste da ballo – certamente miscele e intrecci in precedenza menzionati e molti altri. Questi già citati elementi organici, come le voci e il corpo, combinati con la tecnologia futuristica, quasi spaziale, mostrano un potenziale psichedelico e un fascino per i nightclub delle piccole e grandi città – e le città contemporanee, come si sa, sono anche centri di connessione globale. Osservando il suo lavoro ampiamente, ciascuno degli elementi formanti la musica sembra riverberare in parti diverse del globo: le tecnologie e le scienze con caratteristiche asiatiche, combinate con la melodia popolare europea, con una memoria africana, e una voce speranzosa del nuovo mondo, conferiscono autenticità ed espressività a ogni *dancefloor*, con la danza co-creativa del pubblico, che porta la sua reminiscenza di ancestralità, ovunque sia applicata. Questo segno potrebbe essere identificato finora a San Paolo, dove mi trovo, con i suoi diversi flussi di popolazione.

Infatti, come rileva Piero Bassetti, lo spazio comunicativo italico è molto più ampio di quello che riguarda il suolo italiano, portando multiple ibridazioni. Negli aspetti musicologici è anche possibile comprendere che la musica di Moroder, all'interno di questa caratteristica esponenziale, è anche italica. E qui mi piace prestare attenzione al prefisso *Italo*, da *Italo-disco*, con l'idea più aperta di ciò che studieremo più tardi qui come *Italico*.

Questo testo non vuole finire in se stesso, potrebbe essere il primo di una serie di altri, con panorami diversi. Intendo quindi collaborare con il set di lavori sull'italicità, portando

un passo avanti rispetto a ciò che ho studiato in *Arts, Culture and Media* presso l'Università di Groningen. Studiare la musica in un contesto globale da amante della musica elettronica e dopo aver attraversato gli studi di italicità, lo rende inevitabile presentare questo punto di vista, come un contributo per ampliare le nostre possibilità di visione e analisi della produzione artistica italiana, con il lavoro di Moroder connesso a diversi centri creativi mondiali. Certamente la musica è un contributo collettivo – e questo articolo probabilmente ha solo lo scopo di mostrare come questo grande artista sia stato in grado di sintetizzare i suoni della dance music su larga scala, collegandoli in una sorta di un nuovo sound design – e questo è italico. Anche noi lettori possiamo essere ispirati e trovare connessioni, dando spazio a nuovi articoli accademici e a produzioni artistiche, incontrando questa espressione allo stesso tempo localizzata e universale. In un mondo vasto che si è isolato a causa della pandemia, le esperienze multiculturali dovrebbero essere le benvenute. Le possibilità sono ancora aperte – come una storia infinita. *From here to eternity*.

Riferimenti bibliografici:

- Adult Swim. "Exclusive Interview with Giorgio Moroder", 2014. <https://www.youtube.com/watch?v=w83pmvOrKN0>.
- Bassetti, Piero. *Let's Wake Up, Italics!: Manifesto for a Global Future*. New York: Calandra Institut, 2017.
- BBC Two. "Wendy Carlos Interview", 1989 (17.07.2020), <https://www.youtube.com/watch?v=Z3cab5IcY8>.
- Epicleff Media. "Score: The Podcast – Season 2 Episode 15 – Giorgio Moroder & Raney Shockne, Kings of the South", 2019, <https://www.youtube.com/watch?v=7G8xko9OIWc>.
- Garcia, Luis Manuel. "An Alternative History of Sexuality in Club Culture." Resident Advisor, 28.01.2014, <https://www.residentadvisor.net/features/1927>.
- Loza, Susana Ilma. *Global Rhetoric, Transnational Markets: the (Post)Modern Trajectories of Electronic Dance Music*. Berkeley: University of California, 2004.
- Nika, Coleen, "Meet Giorgio Moroder, the Godfather of Modern Dance Music. Time". 17.07.2020, <https://time.com/3701060/giorgio-moroder-interview-dance-music/>.
- Red Bull Music Academy, "Giorgio Moroder on Synthesizers, Donna Summer and Hollywood", New York, 2013, <https://www.youtube.com/watch?v=7uJE0gUk6Js>.
- Rietveld, Hillegonda C. *This is Our House – House Music, Cultural Spaces and Technologies*. London, Routledge, 1998.
- The Guardian, "Giorgio Moroder: how Star Wars inspired I Feel Love", Guardian Music, 17.07.2020. <https://www.youtube.com/watch?v=HVfQcSg96pQ>.
- Wandler, Heiko, "How Munich and Frankfurt Brought (Electronic) Dance Music to the Top of the International Charts with Eurodisco and Eurodance – and Why Germany Was Not Involved". In *Made in Germany: Studies in Popular Music*, edited by Martin Ringsmut and Oliver Seibt, by David-Emil Wickström, pp. 175–183, London, Routledge, 2021.

Najnowsze publikacje łódzkiej italianistyki

